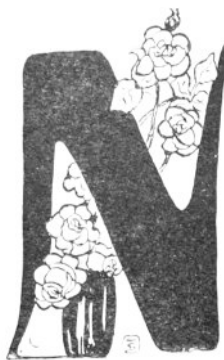




T. Axentowicz. „Portret”.

Armia zbawienia.



Na ulicach miast europejskich, w kawiarniach, knajpach, na zabawach, spotkać można grupy dziwacznie, niewspółcześnie, rażąco niewspółcześnie przybranych osób, wśród których przeważają kobiety: w długich do kolan żakietach i spódnicach z niebieskiego sukna, w potwornie szerokich, jak budy dorożkarskie, kapeluszach, przewiązanych czerwoną wstęgą; mężczyźni w niebieskich, krojem wojskowym szytych bluzach i płacuskowatych czapeczkach. Kolnierze nalepione dwoma dużymi, złocistymi literami: H. S. Najczęściej można się na nich natknąć na ulicy, na skwerach, wogóle wśród największego tłoku, szczególnie zaś w niedziele i dnie świąteczne, kiedy miejsca zabaw są najliczniej odwiedzane. Są wtedy zbrojni w różnego rodzaju dęte i rżnięte instrumenty, w które wnet zaczynają dąć i rżnąć tak przeraźliwie i krzykliwie, że przechodnie z konieczności muszą na nich zwrócić uwagę i zatrzymać się bodaj na moment.

Jest to koncert, a raczej zgromadzenie Armii Zbawienia. Armia Zbawienia lubi praktykować swe huczne i różnemi różnościami zaprawione zgromadzenia agitacyjne tam, gdzie ludzie są najweselsi, aby rozbawionym grzesznikom przypomnieć, że wszystko to—marność nad marnościami. Otóż porządek dzienny takiego zgromadzenia jest następujący. Najpierw gra muzyka, trąby dudnią, basette bucza, flety piszczą, aż zęby bołą. Trudno,—są to amatorzy. Potem rozpoczynają się śpiewy, które nawet niewybrednych szwajcarów nie zadawalniają, a w porównaniu z najbrzydszą pieśnią kościelną lub najmarniejszą naszą kolendą przypominają chyba miauczenie kotów, całemi stadami wyjących w Zurychu po nocach. Po koncercie występują mówcy. Czasem zdarzy się jakaś histeryczka, która, łamiąc ręce, szlochając, wykrzywiając się, w najkomiczniejszy sposób opowiada o różnych cudach ze swojego życia, poczem wzywa zebranych bliźnich, bezwstydnie z niej w żywe oczy kpiących (szwajcarzy bardzo lubią się śmiać, zwłaszcza po obfitej kąpieli piwnej), do

poprawy i zapytuje, czy mają pokój w sercu. Jeżeli się znajdzie grzesznik, zaniepokojony w sercu, a żywiący chęć opowiadania swych grzechów publicznie, każą mu siadać na „ławie skruchy” i odbywa się spowiedź. Najczęściej jednak grzesznicy kończą śmiechem i, zadowoleni z przedstawienia, idą na piwo. Wówczas oficer, częściej „oficerka”, daje rozkaz odwrotu, i kompania maszeruje w inne miejsce, gdzie znowu w takimże szyku bojowym „wydaje bitwę” grzesznikom. Czasami kompania lub pluton otrzymuje rozkaz wymarszu do kawiarni lub na jakąś taneczną zabawę w lesie, jakich tu mnóstwo. W zamkniętych lokalach ograniczają się żołnierze tylko do śpiewania „wojennych pieśni” i kolportażu literatury. Agitacyjna strona działalności Armii nie znajduje, jak się zdaje, oddźwięku w zatwardziałych sercach grzeszników, tem bardziej, że często animusz wojenny nowozaciężnych wyłamuje się z pod wojskowej dyscypliny i zamienia się w natręctwo. Zresztą nie wiele sobie z tego robią słuchacze, ani koncertanci nie sierdzą się zbyt. Pograją, pogadają, pośpiewają, a gdy się nikt nie chce kruszyć, zaczynają flirtować z „rekrutkami” i „kadetkami” (naturalnie z młodemi) i, zupełnie zadowoleni, wędrują dalej.

Do agitacji służy jeszcze prasa, pisma, broszurki. Pozostając z należnem uszanowaniem dla celu umoralnienia ludzi, nie można jednak poważnie czytać niektórych uwag, właściwości gwary, używanej w pismach Armii Zbawienia. Każde zebranie jest „wyprawą wojenną” lub „bitwą”. Np. opis pewnego zgromadzenia: „w Cerlier otworzyli nasi towarzysze ogień, a odniósłszy zwycięstwo, wynieśli z pola bitwy kilka zdobytych dusz”. Podobnych fantazyi poetycznych i ory-

ginalności znajdujemy tam mnóstwo.

Można jednak doskonale zapomnieć o słowach, gdy się przyglądnąć czynom. O ile praca agitacyjna Armii nie może się pochwalić zbyt wielkimi zwycięstwami, zwłaszcza wśród liberalniejszych ludów, jak Szwajcaryja, to przeciwnie—jej działalność praktyczna, filantropijna jest wcale poważna i posiada wiele zalet.

Armia Zbawienia rozwija swoje działalność w Szwajcaryi, Niemczech, Anglii, Norwegii, Danii, Ameryce, Afryce, w Chinach, Japonii, Indjach. Na czele jej stoi anglik, generał Booth. Centralny zarząd ma swą siedzibę w Londynie, a sekcje są porozrzucone po całym świecie. Armia liczy przeszło 60 tysięcy żołnierzy, 15 tysięcy komisarzy, majorów, oficerów i kadetów. Cel pracy filantropijnej Armii Zbawienia ujął doskonale generał Booth w następujących słowach: „Nikt nie może nam zarzucić, że odciągamy ludzi od innych zajęć, nie, my szukamy surowego materiału wśród ginących, między paryasami społeczeństwa, wydobywamy ich z ramion kłamstwa i zgnilizny i urabiamy z nich ludzi: ludzi, którzy napowrót umieją odróżnić złe od dobrego, którzy zdobywają silną wolę i chęć być czemś wogóle, być pożytecznymi w życiu”. W myśl tego hasła bu-



Wilhelm Booth, jen. i wódz naczelny 85,000-cznej Armii zbawienia

duje Armia przytułki dla prostytutek, które chcą rzucić swe rzemiosło, usiłuje nałogowych pijaków odciągnąć od alkoholu i dać im możliwość zarobku, opiekuje się przestępcami, wypuszczonymi z więzień, stawia przytułki nocne dla włóczęgów, którzy zazwyczaj przepędzają nocę w jakichś spelunkach, albo na świeżym powietrzu. Można być zwolennikiem filantropii lub przeciwko niej, nie można jednak nie przyznać zasługi ludziom, którzy ochotnie zajmują się tymi przez los ściganymi nędzarzami. Kryminalista, wypuszczony z więzienia, nie znajdzie nigdzie pracy, jeżeli się nawet o nią stara. Cóż więc mu pozostaje? Wrócić do dawnego zajęcia, co jest najkrótszą drogą do powrotu za kratki. I tak w kółko. To samo z prostytutkami i całą masą chorych ludzi, ginących częściej z winy społecznych warunków, niż z winy własnej. Nawet w tak kulturalnym pod tym względem i zagospodarowanym kraju, jak Szwajcarya, istnieją całe tłumy „wyrzutków“, któremi się nikt nie zajmuje. Do nich to zwraca się Armia Zbawienia.

W Szwajcarii, gdzie w porównaniu z innymi krajami nie wiele jest nędzy żebrzącej, kradnącej, rozbijającej, posiada Armia Zbawienia: 1 przytułek dla wypuszczonych z więzienia kryminalistów na 25 osób, 4 przytułki nocne dla 277 osób, 3 domy ratunkowe (dla kobiet) na 40 osób. Te dosyć znaczne cyfry wzrastają kolosalnie w sprawozdaniu z działalności Armii na całym świecie. 200 przytułków nocnych, 40 biur wyszukiwania pracy, własnych warsztatów 104, w których przez jeden rok pracowało 42.014 osób, przytułków dla wypuszczonych przestępców 15, domów ratunkowych 107, kolonii wiejskich 19 i t. d.

Cyfry istotnie imponujące. Ta filantropia ratuje jednakże setki, tyśiące najnieszczęśliwszych, przez wszystkich pogardzanych jednostek. Jeżeli słowa i agitacje nie usposabiają przychylnie dla Armii Zbawienia, to czyny zdobywają naszą sympatię.

Zurych.

Zyg. Kisielewski.



Leopolski. Zgon Klonowicza.

Galerya miejska we Lwowie.

Sprawa głośnych zbiorów ukraińskich, nabytych przez gminę miasta Lwowa, zdaje się być rozstrzygnięta. Zaproszony do oceny ich znawca z Wiednia, dr. T. Frimmel, którego obie strony wymieniały zgodnie, jako powagę na polu historii sztuki, wydał o nich sąd pochlebny. Honor Lwowa ocalał.

Po całym tem zajściu, które odbiło się echem daleko po za rogatkami miasta, został przecie jakiś niemiły posmak. Zostało dla laika coś, z czem nie umie on sobie dać rady. Ludzie, którzy po nadejściu trochę tajemniczo zakupionych skarbów ukraińskich wydali o nich doraźnie sąd sceptyczny i wartość ich określili, jako prawie równającą się zeru, są ponad wszelką wątpliwość ludźmi lojalnymi i ludźmi nauki. Takim jest w pierwszym rzędzie profesor historii sztuki, dr. Jan Boloz-Antoniewicz, który niesłychanie ostro zaatakował cały nabytek, czyniwszy z wytwornego swego pióra istne narzędzie chłosty. Niewątpliwie znalazł się na przedmiocie pierwszy oskarżyciel, p. Maryan Olszewski, autor wybornej pracy o rozwoju malarstwa polskiego, równie, jak docent dr. Witwicki, który się do tamtych głosów przyłączył. Bronili zbiorów ludzie zgola „nie fachowi“: historyk dr. Czołowski, statystyk i ekonomista dr. Rutowski, ci, którzy kupno przeprowadzili. Gdyby nie pewna, zawsze do niedowierzania skłaniająca doza namiętności w ataku, można było — nie będąc znawcą starej sztuki — instynktownie niejako stanąć po stronie atakującej. I oto przyszedł uczony niemiecki i po czterodniowej ekspertyzie orzekł, że zbiory są dobre i cenne, wita założenie galeryi, powstałej z ukraińskiego nabytku, „gorąco i z radością“, stwierdza, że „w zdumiewająco krótkim czasie dokonano rzeczy wprost doniosłej.“

Jak objaśnić zagadkę tego dwóis- tego sądu?

Dr. Teodor Frimmel, dyrektor galeryi hr. Schönborna w Wiedniu, autor mnóstwa cenionych prac z zakresu historii sztuki, słynny ekspert, wzywany niejednokrotnie po za granice swego kraju, jest znakomitością w swej gałęzi wiedzy. Zdanie jego nie może nie być respektowanym. Jest cudzoziemcem, co poręcza bezstronność. Jest zbyt wybitnym uczonym, aby mógł lekkomyślnym sądem na szwank narażać powagę swego nazwiska. Opinią swą nie wydaje poufnie, dla Lwowa tylko, lecz występuje z obszernem, umotywowanem i popartem licznymi reprodukcjami sprawozdaniem przed forum znawców niemieckich. I nietyl-



Sebastian Ricci. Św. Marek.



Piagetta. Miłosierny samarytanin.



E. Okuń. Niewdzięczni słuchacze.

ko nie przyłącza się do zdania naszych znawców, ale staje na stanowisku biegunowo przeciwnym. „Niejedno z miast, często wspomnianych — pisze — mogłoby sobie brać wzór z zapалу, z jakim we Lwowie, stosunkowo dalekim od wielkich targów artystycznych, dąży się planowo do wielkiego celu”. Lwów, któremu z okazji nabycia zbiorów zarzucono naiwną ignorancję Abdery, uzyskał *testimonium*, które niełatwo kwestyonować. Cóż jednak myśleć o całym nieporozumieniu?

Mamy przed sobą sprawozdanie dr. Frimmela, wypełniające cały obszerny zeszyt wydawanych przez niego „Blätter für Gemölkunde”, 28 stron czasopisma, zilustrowanych 22 reprodukcjami dzieł lwowskiej galeryi. Pomijmy ocenę dzieł polskich, o które mniej chodzi, a o których krytyk niemiecki wyraża się nader pochlebnie; posłuchajmy, co mówi o głównym dziale galeryi: o starych malarzach obcych.

Pisze w sprawozdaniu:

„Urządzono rodzaj krwawej kąpieli wśród starych mistrzów zbioru Jakowicza i nie zostawiono na nich ostatecznie suchej nitki. Tak źle jednak nie jest, nawet, gdy się będzie musiało zrezygnować z myśli o autentycznym Rafaelu, Rembrandzie, Velasquezie, Jordeansie, nawet, gdy okaże się potrzeba wysortować szereg falsyfikatów, a nieco miernot wysprzedać. Wysortowanie nastąpi zdaje się już teraz. Obrazy jednak, które z krwawej kąpieli wyjdą cało, mogą utworzyć mały, dobry zbiór, w wysokim stopniu godny uwagi. Aby mózgi dostać od razu cały szereg pierwszorzędných mistrzów, na to trzeba by wielu — milionów. Podobnie, jak w innych galeryach, także w lwowskiej galeryi

powinno się umieć cenić dobre kopie, jak Andrzeja del Sarto, Correggia, Rubensa, Van Dycka, Jordaensa, Teniersa, Greuze'a i innych słynnych twórców. Niejedno świetnie brzmiące imię jest też reprezentowane woryginale i niejedno obraz może z większą lub mniejszą słusnością bronić swego dobrego nazwiska”...

Wśród oryginałów rozpoznaje Frimmel dzieła mistrzów włoskich, jak Guido Reni, Domenichino, Carlo Maratta, Biscaino, Sebastyan Ricci, Gian Battista Piazzetta, Luca Giordano, Solimena. Między holendrami znajduje obok dobrych kopii „kilka cennych rzadkości” w oryginałach: wybitnego bezimiennego „mistrza z Utrechtu” (tryptyk z początku XVI w.), cennego dziś niezmiernie, Abrahama Janssena (portret damy), Jana Sanders van Hemes-

Maratta. Św. Rodzina.

sen, Jana van Kessel, doskonałego Rembrandcisty, Samuela van Hooghstraeten, Mojżesza van Uyttenbroeck, Gillisa van Mostaert, Meytensa, Pauwelsa, Castaelsa, To de Pootena. Do pierwszorzędných okazów zbioru zalicza cztery szkice plafonowe i ołtarzowe *barocco*, dwa włoskie, jeden hiszpański, jeden austriackiego barokisty. Szkice te uważa za nader cenne. Z Niemców stwierdza oryginalne dzieła Kupetzky'ego, Schoenfelda, J. Heissa, Angeliki Kauffman, Vollerda, Trattmana, Saeya, Oldacha. Wyborny portret przypisuje Czechowi Strecie, z czasów trzydziestoletniej wojny. Szczególnie zajęcie krytyka obudził niemiec Lange, którego ślad w Niemczech zaginął, a który długie lata działał u nas. Z hiszpanów podnosi oryginał Antolineza („Pijanca”), ucznia Murilla, wśród 19 obrazów francuskich rozpoznaje dzieła wybitnych twórców: Le Nain'a, Piotra Mignarda, Wawrzyńca Fauchier, Ka-

rola de Lafosse (z czasów Ludwika XVI), Boissien (XVIII w.) wreszcie arcydzieło starego Meissoniera. Obrazek, przypisywany Watteau, uznał za prawdopodobnego Norblina. Jest wreszcie anglik Kneller.

Około stu obrazów wysortował na „lamus”, blisko dwieście sklasyfikował, jako „galleriefähig”, niewątpliwie dzieła sztuki, godne publicznego zbioru.

A więc nie humbug i nie „Abdera”! Wreszcie — rzekomy Rafael.

I ten także wychodzi lepiej, niż w świetle lwowskiej krytyki. „Rafaël — to trochę za wysoko, ale przy całej ostrożności, nawet przy całej podejrliwości wobec podobnych nomenklatur, trzeba przyznać, że w tym wypadku stoimy przed obrazem cennym, nawet znakomitym”. Frimmel uważa go za stare dobre dzieło florenckie z połowy XVI wieku w ścisłym związku z generacją po-Rafaelowską, może Jakóba Pontorno (1493—1557), ucznia Andrzeja del Sarto.

Tak wygląda opinia niemieckiego znawcy.

Jeżeli uwzględnimy, że prócz owych dwustu obrazów cena kupna (100.000 koron) obejmuje także tysiąc przedmiotów przemysłu artystycznego, monet, medali, ceramiki, bronzów, mebli, to musi się dojść do wniosku, że „interes ukraiński” nie był może przecie zupełnie lichym. Co tem lepiej — nie dla samego tylko honoru Lwowa.

Galerya jest od paru miesięcy otwarta. Przy podniesionej dotacyi gminy kompletuje się dział polskiego malarstwa, który poważnie zasilili dar p. Michała Toepflera. Są tu ze starszej generacyi Leopolski („Zgon Acherona”), Grottger, Matejko („Śluby Jana Kazimierza”), Grabowski, Tępa, Gryglewski, Pruszkowski, pomnaża się zbiór ściśle współczesny. Byłe tylko Lwów umiał zdobyć się na odwagę przesiewania przez grube sito swojej własnej sztuki, gdy będzie miała pretenzje zapelniać sale galeryi.

Kusztoszem zbiorów jest artysta-malarz p. Marcelli Harasimowicz.

Lwów.

J. Łęski.



Fragment z tragedyi „Wenedzi”.

Rzecz tragedyi odbywa się w niedługim czasie po śmierci Wandy, królowy Białochrobackiej. Rytygier, zwyciężony pod Krakowem, zostaje królem Wenedów, w czym go popierają książęta sąsiedni, Gero i Khan Fennamor; nie mało też się przychylił ku temu rywalizacyja wojewodów Czartki i Potoka, oraz ogólnie zaćmi enie ducia na ziemi Wenedów. Dzięki temu przełamany został drugi pretendent Leszek, z krwi Dervida pochodzący, niegdys obłubieniec królowej Wandy, wojownik odrodzenia Wenedów. Garsć szlachty i ludu stanęła po jego stronie, a z książąt zagranicznych królewicz duniński Harlet. Niezadowolony z wyboru Rytygiera wiażą się w konfederacyję pod buławą Leszka i Hamleta. Dajemy tu fragment z aktu II-go, który przedstawia ucztę koronacyjną zwycięzkiego Rytygiera. Scena wyobraża salę w zamku królewskim. Wielkie okna. Po prawej stronie rzeka płynie pod zamkiem; po lewej dziedziniec. Na sali stoły zastawione ucztą. Przy jednym stole książęta, jako to Fennamor, Khan Czudzi, i jego wnuki, Palladyna, Gero, margraf saski, Dytich, poseł księcia Markomanów, oraz wojewodowie Czartko, Potok i inni. Przy drugim stole szlachta i rycerze, między innymi p. Harmider, p. Haraburda, p. Chorągiewka, p. Roch i inni.

P. CHORAĞIEWKA.

Witaj nam, witaj, miły hospodynie,
Chwały Kirkora zacny spadkobierco.
Po długich walkach, jakie się w narodzie
Toczyły, niby ogień rozchukany,
Musiała prawda zwyciężyć. O, panie!
Ze wszystkich, którzy pragnęli tu władać,
Najdostojniejszy zdajes się korony
Tej sławnej ziemi. Witaj nam, o, królu,
Rządź nam i panuj!

RYTYGIER.

Dzięki wam, panowie!
Wam, o, rycerze, coście mieczem błysli
W moim imieniu, i wam, o, szlachetni
Wojewodowie, coście tak ochotnie
I szczerze dla mnie ponosili trudy!
Dzięki raz jeszcze! Jak w otwartej księdze,
Tak czytam w sercach i obliczach waszych!
Widzę w nich zapał i ufnosć! Panowie,
Pytajcie ludy od Arkony świętej,
Od szarych brzegów Bałtyckiego morza,
W lasach Hercyńskich, w puszczy
Tentoburskiej,
I na Panonii zielonych równinach,
I w Romie, której nie śmiał tknąć Atylla,
Najpotężniejszy mocarz lat niedawnych,
Az po Sycylię od słońca czerwoną,
Pytajcie wszędzie; wszędzie znana światu
Potęgą miecza Rytygierowego!
Raz tylko jeden—nad brzegami Wisły
Padłem, miłości strzałą powalony,
Gdy biała Wanda, bogini Chrobatów,
Moc mą złącała dobrowolną śmiercią.
Po za tem miecz mój był niezwyčajony!

GŁOSY.

Chwała mieczowi Rytygiera. Chwała!

RYTYGIER.

Szczerem uczuciem waszem powitany,
Tuszę, że będę narodowi miły!
Bogów się swoich wyrzekam. Odyna
Na Światowida zamieniam. Dziewannę
Czczę zamiast Frei, złotowłosej pani.
Klnę się tym mieczem bronić waszej ziemi,
Która mi odtąd stała się ojczyzną!
Niechętni pewnie zamilkną niedługo;
Bo chciałbym wewnątrz kraj tu mieć
spokojny.

Natomiast wszystkie *pacta* i układy,
I wszystkie stanów odpowiednie prawa,
I przywileje—zachowywać będę,
Jako przystoi królówi z wyboru.

GŁOSY.

Oto są słowa prawdziwego króla!

RYTYGIER.

Teraz mym gościom, monarchom
dostojnym,
Niech złożę dzięki, cześć i pozdrowienie!

Oni to bowiem w godzinie zamętu
Mych nieprzyjaciół złamali szeregi
I tak przebili mi drogę do tronu!
Tobie, najstarszy, krain lodowatych
Surowy władco, wielki Fennamorze,
Dzięki—i tobie, najpiękniejsza z niewiast,
O której marzyć śmie ledwie bóg jaki,
Cześć, Palladyno, Fennamora wnuku!
I tobie dzięki, o, margrafie saski,
Gero, w turniejach wsławiony rycerskich!

FENNAMOR.

Królu Wenedów, słowa twoje świadczą,
Jaka szlachetna żyje w tobie dusza...
Usługi naszych walecznych rycerzy—
Rzecz to jest blaha... Owszem, jeśli wola,
Mogę ci legij mych kilka zostawić,
A nawet mi to zdaje się koniecznem
Ze względu na ten naród niespokojny,
Gdzie lada chwila bunt i powstania.
Jest to przyjaźni mojej dowód szczerzy,
Tak, iż drużyna moja tu zostanie,
Ażeby czuwać nad twoim spokojem!

GERO.

Do Rytygiera słów—ja, Rytygierze,
Dodam podobne. Część moich rycerzy
Zda mi się w ziemi twojej nieodzowną.
Niech tu zostaną. Stać będą na straży
Twojego żywota oraz dostojństwa,
Wreszcie—dla szczęścia tej ziemi.

RYTYGIER.

*(chciałby zaprzeczyć; wydaje mu się to za
wiele dobrze, która może stać się ciężarem;
chwilę rozmyśla, w końcu przemila, co roz-
myślał, i mówi)*

O, dzięki!

Takich przyjaciół kto ma, ten nie zginie!
(do stołu rycerskiego).

Proszę, panowie, ucztę rozpocznijcie!
Niechaj surowy trud i rozmyślanie
Nad dobrem tej tu Rzeczypospolitej
Ustąpią teraz śmiechom i radości!
Niechaj ochota do jadła i wina,
Niech pieśń z muzyką staną się wyrazem
Szczęścia i chwały Rytygiera godów.
Bo to są gody me z ziemią Wenedów—
I na tych godów cześć, ten pierścień złoty,
Na sycylijskim zdobyty książęciu,
A który miałem ofiarować Wandzie,
By jej przysięgi swoje złożyć ślubne,
Ten pierścień złoty rzucam w głębie
rzeki,

Jako się Wanda rzuciła w toń Wisły.
*(Rzuca pierścień przez okno w fale rzeki, co
u stóp zamku się toczy).*

GŁOSY.

Niech żyje ziemi naszej król-małżonek.
(Uczta. Muzyka. Scena na stronie).

CZARTKO.

(do Palladyny).

Jednak niedobra zda mi się ta sprawa.
Czyż nasi własni rycerze w tej ziemi
Niedostateczni są ku jej obronie?

PALLADYNA.

Niewiernyś swoim kłatwom, wojewodo!
A któż to mówił, że głowę położę
Za moje oczy i pieczęty moje?
Pamiętasz słodycz moich pocałunków,
Ogień uścisków i niebo rozkoszy,
Które otwarła tobie Palladyna?
Czemu zaprzeczasz słowom Fennamora,
Którego usta moje myśli głoszą?

CZARTKO.

Jeśli to myśli twoje, to są razem
I moje; nie mam teraz myśli własnych.
Wszystko się dla mnie zeszło w twojem
sercu,
I we krwi twojej—i w marmurze białym
Twojego ciała. Jestem twój. Więc dobrze,
Niechaj tak będzie. Milczę.

PALLADYNA.

Wojewodo,
Patrz w jutro. Pomyśl, jaki los cię czeka
W złotej przyszłości i dostosuj czyny
Do tych widoków... Dzisiaj po północy
Czekam na ciebie. Pachnidłem obłój
Całą komnatę. Wina czarodziejskie,
Co mnożą rozkosz, zgotuję dla ciebie;
I pieczętami do snu ukolyszę.

*(Przy stole rycerskim ucztą się rozwija.
Kielichy coraz się napełniają winem. Roz-
mowa, zrazu cicha, potem w gear się
przemienia).*

P. HARABURDA.

Co? z tym pierścieniem? To był ruch
królewski.
Szach—mach i nie ma go.

P. HARMIDER.

Jasne, jak słońce!

P. CHORAĞIEWKA.

Żyj nam i panuj, Rytygierze! Tegie
Snadź po Kirkorze wino masz
w podziemiach.

RYTYGIER.

Radość mam w sercu, że wam moje wino
Zasmakowało! Brak mi gospodini,
Lecz, ile można, zebrałem tu wszystko,
Co rodzą puszcze tutejsze i łąki,
Skąły i rzeki, ogrody i pola,
Wreszcie pasieki i z zamorskiej dali
Złote winnice! Śmiejmy się, radujmy!
Chciałbym być królem, w któregoby
państwie
Śmiech nie ustawał! Niech zapusty ciągle
Panują tutaj! Kuligiem i tańcem
Niech będzie żywot nasz! A to królestwo
Niech huczy zawsze, jak przydrożna
karczma

W święto Sobótek! Niech naród się bawi!
Niech je, niech pije, niech się kocha!

GŁOSY.

Vivat!

Niech żyje król nasz zapustny Rytygier!

P. HARABURDA.

Jedźmy a pijmy, popuszczając pasa!

P. HARMIDER.

Święć się królestwo jedzenia i picia.
Przeciwko winu nic nie mówię złego,
Lecz nie chcę krzywdzić miodu ni gorzalki
A nie mniej zacne jest przecie i piwo
Czenstochowianum.

P. CHORAĞIEWKA.

Prawdziwy statysta!

Można cię wybrać ministrem pijaństwa.
Rozkaż, o, królu, niechaj w twojej ziemi
Rzeki się toczą winem, a jeziora
Niechaj się srebrzą gorzałką; siklawy
Niech huczą miodem, a zaś wodotryski
Niech biją w górę strumieniami piwa!

P. HARABURDA.

Pod karą śmierci woda zakazana.

P. CHORAĞIEWKA.

Jako zaś prawda jest w miodzie i winie,
Tak to nasz naród, wszędzie prawdę
czerpiąc,
Tańczyłby pewnie lepiej, niż świat cały,
Inaczej na nic byłoby zapusty!

P. HARABURDA.

Będziemy tańczyć. Wszystko będzie
tańczyć
Starzy i młodzi, ludzie, konie, ptaki,
Lasy i góry, kubki i faryury!
Więc ryba z rakiem, pasternak z pietruszką,
A nade wszystko kielbasa, najpięwsza
Na całej ziemi naszej tanecznicza.

P. HARMIDER.

Zamiast drzew niechaj po lasach
i drogach
Rosną kielbasy wielkie, jak topole.

P. HARABURDA.

I wszelka spiża: niech żubrze pieczenie,
Udźce łosiowe, zacień zgotowane,
Na wędrowników czekają po drogach!

P. CHORAĞIEWKA.

Niech na powietrzu pieczone gołąbki
Wiszą—i same wpadają do gęby!

P. HARMIDER.

Każ pierogami brukować ulice,
Prażuchą zasiej, werezszczakiem, kaszą
I oładkami—wygracuj chodniki!

P. HARABURDA.

Domy z pieńników buduj; cukrowemi
Kryj je gontami. Z karamelu zasiej
Niech będą okna. Anyżem i koprem
Niechaj omszone będą strzechy domów,
A niechaj pachną wonnym cynamonem
Oraz szafranem.

P. CHORAĞIEWKA.

Pociski wojenne
Zamiast z kamienia niechaj będą odtąd
Z pępułów, wewnątrz pełnych
kandymentu.

P. HARABURDA.

Góry niech będą z bakalij zamorskich
Z pigw i cybeby, z koryntów, cykaty,
Z cytwaru, pinot, paszt i talamiry!

P. HARMIDER.

Oto mi cudne zapustne królestwo,
Jakby u Boga schowane za piecem.
Za króla Cwiczka lepiej nie bywało.

P. CHORAĞIEWKA.

A jakże będzie z mennicą? Toć czasem
Trzeba na szaty sakwę mieć pyzată.

P. HARMIDER.

Żadnych nie trzeba u nas ekonomii,
Żadnych rachunków. Ciżmy, szarawary,
Syce, hatłasy, brokatele—same
Przychodzą do nas; same się wdziewiają,
Jak na reducję!

P. HARABURDA.

Przystaję, albowiem
Prawo to dobrem jest zwłaszcza dla takich,
Co wielkie brzuchy dźwigają na nogach.

P. ROCH.

Teraz, panowie, wnoszę ważną sprawę:
Deliberując nad tem i nad owem,
Trzeba też nowy statut białogłowski
Sfundować w naszym królestwie.

P. HARMIDER.

Jakże to?

P. ROCH.

Krół niechaj rozkaz da naszym podwikom,
By miały we krwi więcej gorącości,
A mniej serwatki. Bo panienki nasze
Są, jako ryby, na łodzi trzymane.
Od tego zimna, które w naszych dziewczkach
Dysze jakowymś chłodem borealnym,
Całkiem pomarżła nasza młodzież męzka,
Albo też katar ma od przeziębienia,
I całe zniknął w naszej generacji
Duch przedsiębiorczy w białogłowskiej rzeczy!
Owszem, gdy śmiałek zdarzy się jakowy,
Kruk biały, rzadki ptaszek,—cóż się dzieje?
Gardłem jest karan—albo li, co gorzej,
Małżeństwem! Zasię jaby tak powiedział:
Raptus puellae niechaj odtąd będzie
W naszym królestwie nagradzane suto,
Jako świadectwo animuszu, oraz
Zwycięstwo walne nad lodowatością
Naszych białychgłów!

P. HARMIDER.

Vivat! Dobrze gada!
Szkoda, że lata przeszły mi kugucie!
Wnetbym urządził wam *raptus puellae*.

P. CHORAĞIEWKA.

Królu nasz! Potwierdź statut białogłowski,
Rządź nam i panuj!

P. HARABURDA.

Albo nie rządź wcale!
Dawniej to u nas mówiono: król rządzi.
Lecz nie panuje! Ja mówię: nie prawda!
Król ani rządzi, ani nie panuje,
Bo nam tu żadnych nie potrzeba rządów.
Czartko tu rządzi!

P. HARMIDER.

Tiń! Potok tu rządzi!

P. CHORAĞIEWKA.

(bardzo głośno, a za nim chór).

Niech żyje władca Wenedów, Rytygier!

P. HARABURDA.

Ziemia Wenedów rządzi sama sobą—
Lub raczej sama w nierządzie rozkwita.

P. HARMIDER.

Nierządem stoi.

P. HARABURDA.

Tak, stoi nierządem.

P. HARMIDER.

Stoi chaosem.

P. HARABURDA.

Chaosem.

P. HARMIDER.

Bigosem!

P. HARABURDA.

Patrzcie, toż myśmy, gadając o przysłem
Naszym królestwie, całe o bigosie
Nie pamiętali.

P. HARMIDER.

Także i o barszczu!

Potrzebny byłby ocean barszczowy.
Naród skąpany w rzekach wina płynnych,
Oraz w jeziorach piwa i gorzały,
Również się barszczu domaga!

P. CHORAĞIEWKA.

O, królu,

Każ nam dać barszczu! Niech żyje Rytygier!
DN.



Kaz. Tetmajer.

Król Andrzej.

POWIEŚĆ.

26

I tak stojącą pośrodku zastała nadbiegła pomoc. Polan żył, sztylet przebił tylko mięśnie; założono mu na miejscu opatrunków i na noszach odniesiono do kwatery.

Wież o zamachu zatamowała wszelki ruch zarówno w sztabie Polana, jak i u pełnomocników włoskich, w pierwszym już jednak oszołomieniu pierwsi czuli, że stracili decydującą głowę, drudzy, że teraz nie należy, mimo klęski, obawiać się tak Słowian, jak się ich dotąd obawiano. Na razie wstrzymano konferencyę, szyfrowane depesze poczęły krążyć między Wenecją, a Rzymem, między ambasadami zagranicznymi. W Berlinie oceniono sytuację natychmiast. Cokolwiekby, Włochy z napół zniszczoną, a na wskroś zdemoralizowaną flotą, z Polanem, czy bez Polana, pokój zawrzeć muszą. Zwycięstwo Południowej Słowiańszczyzny oddziaływało na ogół narodów Słowiańskich podobnie, jak zwycięstwo Japończyków na plemiona w Azji. Niemcy zobaczyły przed sobą niebezpieczeństwo—i moment zapobieżenia mu. W Południowej Słowiańszczyźnie należy wzniecić wojnę domową, pchnąć Austro-Węgry do wkroczenia tam w celu przywrócenia porządku—i za cenę ścisłego przymierza przeciw Francji i Anglii pomóc jej do osadzenia na tro-

nie jednego z ich arcyksiążąt. W ten sposób, jeżeli się nie zażegna, to na czas jakiś przynajmniej odroczy wybuch burzy antygermańskiej. Co do Włoch, to po klęsce długo nie będą się one mogły niczemu sprzeciwić.

Zastępstwo Polana w obradach objął admirał Koszuticz; pokój bez zmian zawarto, tylko Włosi wcale nie taili się z zapowiedzią szybkiego i potężnego odwetu, a Słowianie radzi tyli jak najprędzej granice włoskie opuścić i mimo zwycięstwa nie mogli się nie zdradzać, że brząkanie szabla w Rzymie napętnia ich niepokojem i obawą.

Podjęcie wojny, cały jej plan, cała niemal nawet akcja: wszystko było dziełem Polana; nikt nie czuł się na siłach działać dalej, nikt nie czuł nawet w sobie odwagi zacząć próbować tego. „Poprostu spadła głowa”—mówiono.

Żal, zgroza, przerażenie i strapienie były we flocie niepodzielne i niezmierne. Żołnierze chcieli rozważyć na sztuki sprawcę zamachu. Osądzono go prawem wojennym i skazano na śmierć, ale nie powieszono, gdyż spodziewano się wydobyć zeń zeznania, prowadzące na ślad współników, których mieć musiał.

Gdy zaś lekarze ogłosili, iż jest nadzieja utrzymania dyktatora przy



Ajwazowski. Burza.

zyciu, a stało się to już w drodze z Wenecji ku Lussin Piccolo, dokąd płynięto, aby go tam na ląd wynieść i leczyć, marynarze szaleli z uniesienia. Nie strzelano z armat, bo był zakaz, ale wszystkie flagi w setkach barw powiewały na masztach.

Księżniczka Metella Teresa, widząc, jakie są uczucia wojska względem Polana, a jak nie wspomina nikt nawet o ewentualności powrotu na tron Zwonimirów, chwyciła się roli szarytki—i dzień, i noc pilnując najtroskliwiej dyktatora, kupowała sobie powszechną sympatię i stała się niezbędną przy łóżu rannego. Chodziło tu przecież i o jej głowę, obwinioną o dwa zabójstwa, i oto, aby jej poprostu nie wydano teraz sądom za powrotem do Spalato, o ile z Lussin Piccolo nie potrafi uciec za granicę. Wiadomość zaś, że Polan żyć będzie, a nawet może być zupełnie zdrow, napęliła i ją prawdziwą radością, a plan, zakomunikowany z Wenecji królowi Andrzejowi, odzyskał na nowo szansę ziszczenia.

Napastnik obrał sztylet, gdyż, jako zegarmistrz z zawodu, utrzymywał, że pchnie tam, gdzie zechce. Tymczasem ręka go zawiodła, a sztyletu nie zatrul.

Potężny, stalowy organizm Polana odgnał śmierć. A gdy przy-

szedł on do przytomności na wiszącym łożu na statku, wiozącym go na Lussin Piccolo, pierwsze jego spojrzenie padło na twarz księżniczki, ubranej w lazaretowy fartuch z zielonej skóry na mundurze adjutanta. I cudowny, boski uśmiech wniknął w jego niezwłocznie zamykające się, bezsilne jeszcze oczy.

Tymczasem księżniczka, otulona w cywilną pelerynę, w kapelusiku filcowym, wybrała się na jeden dzień do Abbazy, z kąd pod adresem barona Męckiego król Andrzej otrzymał depeszę następującej treści: Strzegę skaleczonego ogiera, jak oka w głowie. Mam nadzieję, że nas jeszcze pociągnie. Dlatego nie przyjeżdżam. Krystyn.

* *

Parny był, palący wieczór lipcowy. Morze, mimo nadciągającej nocy, płomieniało żarem, wzdęte przez gorący wiatr południowy. Upał oddech tamował.

Na werandzie pod szklanym dachem willi, w której przebył chorobę i rekonwalescencję, stał Polan, zdrow już i silny, jak pierwsi, i wodził oczyma po pustkowiu nocy. Opodał, u wybrzeży świeciły się ognie pancernika, który go miał zawieść do Spalato.

Czas spędzał w nieustannym towarzysztwie księżniczki Me-

telli, w której odczuwał zagadkę, ale odgadnąć jej nie umiał. I poprostu bał się. Zaczawszy od łyżeczek wody z sokiem, które mu wlewała w usta, gdy jeszcze leżał, jak kłoda, bezwładny, od pasyanśów, które mu potem kładła na tekturze na kołdrze, aż do obecnej chwili, gdy chodziła już z nim na coraz dalsze przechadzki i sterowała jego żaglową łódką, była dlań nie tylko, jak siostra miłosierdzia, ale—jak najlepsza rodzona siostra. Było mu przy niej i z nią tak dobrze, że bał się chcieć ją odgadywać. Tajemnicą było w niej dla niego wszystko. Jakkolwiek mówili ze sobą wiele, nie mówili nigdy o niczem, coby było czemś więcej, niż słowami. Polan w danej chwili wiedział o niej wszystko, ale nie wiedział z niej nic. Śmiała się wspominając, że zapowiedział jej zdobycie Rzymu, gdy postanawiał walczyć na Adryatyku, ale Polan nie wiedział: co o nim myśli? Śmiała się z wyprawy „po złote runo“ młodych arystokratów europejskich, krótko i smutno skończonej, ale Polan nie mógł przeznaczyć, czy wolałaby, aby oni byli zwyciężyli, czy aby on zwyciężył? W to, żeby znajdowała się obok niego w mundurze adjutanta z wyłącznej miłości ojczyzny, nie wierzył, jak wiedział, że nie powodowała nią wy-

łącznie chęć wydobycia się z więzienia, gdyż mogła była już teraz uciec za granicę tysiąc razy, gdyby jej na tem zależało.

Czasem swiała mu myśli, że ona od niego czegoś chce, ale czego? Zostać jego żoną? Księżniczka nie tała się z podziwem dla jego zwycięstw, natomiast zawsze bez skrupułu okazywała się, jako rdzenna, do szpiku kości królewska arystokratka z uwielbieniem rasy i antenatów. Nie czyniła tego nigdy w sposób urażający, ale dawała to czuć we wszystkim. Jej sposób zachowywania się wobec oficerów był taki, że nikt nie śmiał grubszego słowa przy niej powiedzieć, jakkolwiek była bardzo swobodna i uprzejma; żołnierze admiralowali ją zdaleka.

Polan, zawsze zuchwały i lekceważący, setki razy miał na ustach wspomnienie pieśnicy jej w więzieniu, setki razy miał ochotę zapytać, czy spała wtenczas i czy jej mu nie zdawało się, że spojrzęła za nim, gdy wychodził: i tyleż razy wstrzymywał język na zębach. Przez tak długi też czas ciągłego obcowania nie śmiał poprosto ręki jej mocno uściśnąć, bał się.

Pożądał jej zaś nad wszelki wyraz. Było to ustawiczne wrzenie namiętności, spotęgowanej kilkumiesięcznym nieobcowaniem z kobietami, a podniecane wzmagając się spiekotą letnią. Wkrótce i nawiąskłość przekonał się on, że owo zmalenie księżniczki w jego oczach wobec ogromu otwartej przed nim przyszłości było złudzeniem chwili. Jednak panował nad sobą całą mocą woli. Inną byłby obalił i zgwałcił. Tu czuł, że wszystko, jeśli trzeba będzie, pokona, aby nie zepsuć tego, co jest, tak było mu słodkiem i umiłowaniem.

Męczył się, szalał we dnie i w noc, ale się sam sobie nie poddawał.

Czasem wydawało mu się, że i w żrenicach księżniczki zapalają się jakby fosforyczne blaski, podobne do tych, jakie musiały płonąć w jego oczach. Ale czy te były tak dziwne, tak niezbadane...

Gdy stał na balkonie willi i patrzył we fosforyzującą ciemność nocy i morza, nagle uczył lekkie tknięcie palców na ramieniu, podobne do tego, które sen mu przyrywało niegdyś w Spalato. Obrócił się szybko: księżniczka Metella stała za nim w zarzuconej na mundur pelerynce z żaglowego płótna, dziwnie podniecona i piękna, jak nigdy.

— Dyktatorze — rzekła — pójdź!
— Dokąd.

— Na łódź. Wicher dmie. Na morze!

— Burza będzie.

— To nie! Weźmiemy żaglowy jacht, „Albatrosa“.

— Szaleństwo!

— Szaleństwo! Chcę szaleństwa! — odpowiedziała księżniczka.

Polan popatrzał na nią: nigdy nie była tak piękna. Oczy jej świeciły rzeczywiście, „jak dwie gwiazdy“. Dumna, sucha jej twarz przybrała wyraz tak wyzywający, odważny i zuchwały, że stała się podobną do głów sokołów, z którymi Polan polował podczas swojej wycieczki do Albanii. Kręte jej włosy, krótko strzyżone, wymykały się z pod angielskiej czapeczki, a piersi, młodzieńcze, bujnie podniesione, niewielkie, twarde piersi nęciły oczy, jak kwiaty. Polan ledwo zdzierzył ręce, aby nie rzucić ich pod płaszcz, na skryte pod nim biodra księżniczki.

Coś było w niej niezwykłego.

Jakieś podniecenie, rozdrażnienie drgało w całej postaci, coś ją roznamietniło i odebrało jej władzę nad wrodzonym temperamentem, który nieraz zmuszała widocznie do posłuszeństwa. Sama mawiała o sobie, że z królowy przeobraziła się na adjutanta...

Wicher dał, potężny i gwałtowny. Puszczając się w taką pogodę i jeszcze w nocy — łodzią na morze: było to wyzywać śmierć. Ale zarazem było to wyzywać w księżniczkę Metellę coś, czego w niej Polan się domyślał, ale czego nie widział nigdy.

I rzucił krótkie: dobrze.

Zbiegli po kamiennych schodach na dół, na brzeg. Odwiązali swój jacht, „Albatros“, nazwany tak od pancernika, na którym Polan ruszył na pierwszą wyprawę, wskoczyli w niego. Księżniczka rozpięła żagiel, Polan siadł przy sterze.

Wiatr odniósł łódź z piorunującą szybkością na głąb, gdzie czekała nią woda to w dół, to do góry.

— Szaleństwo! — ozwał się znowu Polan.

— Szaleństwo! Ależ to pana żywioł! Jesteś pan znow w noc, na „Albatrosie“, jak pod Wenecją.

— Gdzież „Nautilus“? I gdzież „Amfitryte“? — roześmiał się Polan.

— „Złote runo!“ — rzuciła zuchwale księżniczka, przeginając głowę w tył.

Taniec fal stał się zawrotny. Łódź poczęła jakby wirować, a woda przelewała się nad krawędzie.

DCN.



Wojewoda kijowski A. Kisiel.

W starym Kijowie.

2

D. 2 Sierpnia zbliżył się pod miasto Gąsiewski i stanął obozem na Bloiniu, według wszelkiego prawdopodobieństwa między Przeorką a dzisiejszym Padołem, gdyż innego miejsca stosownego nie było. Zdaje się, że Anton nie dał zupełnie za wygraną, a przekonany, że walczyć i utrzymać się nie będzie mógł, postanowił przynajmniej niepokoić wojska litewskie. Jakoż zaatakowali zaraz kozacy Gąsiewskiego, „ale Pan Bóg owym swawolnikom i tyranom nie błogosławił. Nadkosili onym głów. Obaczywszy, że ich przegrana, poszli przedmieścia palić, dla szturm, aby wojska nasze nie mogły blisko przystąpić. Spalili 50 chałup.“. Zaniepokoiwszy wojsko, cofnęli się do swego taboru. Wyprawiono kilkaset człowieka na czaty za uciekającymi i rozgromiono ich szczęśliwie. Gdy już nasi do obozu wracali, napadł na nich z ogromną gwałtownością podjazd kozacki, wysłany przez Chmielnickiego dla zdobycia języka. Było tego ze trzy tysiące Kozaków i kilkaset Tatarów. Podemknąwszy się pod sam obóz litewski, został szczęśliwie odparty z równą gwałtownością, jak atakował. Chorągwie nasze wsiadły na nich ostro, tak, że najpierw Tatarzy, a za nimi Kozacy umykać poczęli. Umykając dawali odpór, trzymając na sobie atakującego żołnierza. Nie długo jednak zdołali wytrzymać i rzucili się na błota i zarośla. Padło ich wtedy z półtora tysiąca, a gdyby nie noc, „i nogaby ich nie uszła“, — pisał Radziwiłł do Potockiego. Oczywiście, chodziło Chmielnickiemu o to, ażeby wojsko litewskie do połączenia się z koronem nie dopuścić. Ale nie mógł się opierać skutecznie. Radziwiłł, zaraz 3 Sierpnia, ażeby wzmocnić Gąsiewskiego, posłał mu półtoratysiąc piechoty bajdakami,



a dnia następnego z całą siłą wojska ku Kijowowi ruszył. „O czym swawola rozbójnicka, — pisze Jerlicz, — powziawszy wiadomość, poczęła się trwożyć i tegoż dnia w nocy, dawszy między sobą hasła, uderzyli kilka razy z dział, rzucili się do ucieczki, porzucając wszystko — i armaty nawet. Na wyprzódki jeden przed drugim uciekali. „*Samowodzie*“ dodaje, że uciekli bajdakami do Pereasława, Czerkas i niżej. Nazajutrz 4 Sierpnia podstąpił Radziwiłł pod Kijów z całą siłą wojska litewskiego, którego było mało co więcej nad 6000. Radziwiłł, wszedłszy do miasta, pułkownika Nolda wystawił z armatami Dnieprem pod klasztor Peczerski (dzisiejsza Ławra), a Jelskiego z piechotą węgierską ustawił od Złotej bramy. Widząc wojska nasze w pogotowiu stojące, a niespodziewając się rychło pomocy, mieszczanie poddali się, prosząc tylko o zachowanie ich przy życiu. Kazał im X-że wykonać przysięgę na wierne poddaństwo i broń wszelką po odbierać. Zatoczył obóz koło cerkwi św. Zofii, „w staroświeckich wałach,“ sam zaś zamieszkał w monasterze św. Zofii w pokojach ojca Metropolity. Ledwie zdołał jako tako obóz opatrzyć, gdy go znów zaatakowali kozacy od Dniepru. „Zbójcy — pisze Jerlicz — członkami przypadli pod Kijów, ale bez szkody, gdyż tylko dwóch hajduków miejskich pochwycili.“ Był to napad uplanowany, gdyż równocześnie prawie z bezcelowym atakiem od Dniepru, „wataha zbójców“ — nigdy kozaków inaczej nie nazywa Rusin Jerlicz — w kupie, przeszło 7000 liczącej, udała się pod Kijów od strony Trypolia. Ale „miałszy wiadomość o tych zdrajcach, gdzie się obracają,“ osaczono ich we wsi Podhorcach i „przy łasce Bożej zniszono“. Wspomnieliśmy już o tej potyczce w poprzednim rozdziale.

Były jeszcze próby, podjęte przez pułkownika Antona odebrania Kijowa. Wysłał on mianowicie pułkownika Makierę, który był na prezydium w Kijowie przed zdobyciem miasta przez Radziwiłła i umknął wraz z innymi, a dawszy mu 2000 kozaków, rozkazał ukryć się w sitowiacz, napisać chyłkiem na bajdaki litewskie i albo je spalić, albo na drugą stronę Dniepru przeprowadzić. Pułkownikowi zaś Harkuszy z dwoma tysiącami Kozaków i Tatarów kazał szpiegować dokoła Kijowa, aby mieć dokładne informacje, co się w obozie litewskim i w mieście dzieje. Sam zaś miał zaatakować miasto, dopłynawszy statkami od strony Padolu. Makiera nie wykonał jednak dokładnie poleceń Antona lub wskutek czujności Litwy dokonać nie mógł, lecz tylko, złączwszy się z Harkuszą, na znak, że już są gotowi i czekają, zapalił jakąś wioskę pobliską. To obudziło czujność wojskową w mieście, a gdy Anton podpłynął pod Kijów, został należycie przywitany. Zasadzka nie udała się w zupełności. Odosobniony Magiera musiał się cofnąć, a pędzony miłą całą, uciekł ze stratą. Nie lepiej

się udało Antonowi, który po krótkiej rozprawie na Dnieprze i na błoni, przeprowił się na drugą stronę i uszedł. Nikt za nim nie podążył. „Litwa nie mogła tak prędko po Dnieprze żeglować“ — mówi pamiętnikarz.

Czas jakiś było spokojnie w Kijowie. Wojska koronne zbliżyły się do Wasylkowa, ażeby, połączwszy się z litewskimi, tem łatwiej można było pokój wymóżyć. Nie o wojnie wszakże, lecz o pokoju wszyscy myśleli, i Kisiel, opanowany manią godzenia, pozyskał sobie zniedołężnionego skutkiem choroby hetmana W. K., i już tylko dążył do tego, ażeby traktatem zażegnać burzę. Chmielnicki, niepewny, jak się wszystko zakończy, ścigał i nowozaciężnych i niedobitków do swego obozu. Nie miał czasu myśleć o Kijowie.



Pomnik B. Chmielnickiego w Kijowie.

Ze starego sztuchu.

Garstka wojska litewskiego, okopawszy się między Złotem i wrotami a starym zamczkiem, poprawiwszy dawne okopy i wały, była, jak na wulkanie. Dokoła i w mieście panował niby spokój, ale nizin podobne były do ognia, zagrzebanego w popiele, który łada wiatr wydmuchać i odkryć może. Szukano tylko sposobności lub starano się ją wywołać, ażeby dać ujście swawolnym instynktom. Gdy X-że Radziwiłł kazał stracić kilku jawnych zdrajców, będących w porozumieniu z buntownikami, wszczął się nagle pożar w mieście, prawdopodobnie dla wywołania tumultu, ale Hetman zabronił dzwonić na gwałt, zapobiegając gromadzeniu się ludności, i wkrótce

ustął. 17 Sierpnia powstał jeszcze groźniejszy pożar. Miasto zapalili swawolnicy — pisze Jerlicz — dla łupiestwa, a zgorzało wówczas przeszło 2000 domów i kilka cerkwi. mianowicie w rynku Panny Maryi (Preczystej), gdzie się mieściło archiwum aktów ziemskich i grodzkich, wszystko zgorzało. Padł pastwą płomieni „panieński monaster św. Choria“, monaster dobrego Mikoly, klasztor Bernardyński zgorzał doszczętnie, tak że nawet dzwony stopiły się. Zdołano tylko uchronić od zniszczenia klasztor Dominikański. Najpiękniejsze gmachy miejskie, szkoły, — wszystko pogorzało. Przyczynę pożarów przypisywano swawoli żołnierskiej wojsk litewskich, gdyż nie życzone sobie — opowiadano — oddać Kijowa wojskom koronnym. Chciano jakoby raczej spalić doszczętnie wszystko, zrabować, a oddać tylko ruiny i popieliska. Były to tylko bezsensowne bajania. Wiemy z odpowiedzi Chmielnickiemu, jak się zapatrywał X-że Radziwiłł na wspólność interesów i jedność państwową Rzptej. Dochodzenia późniejsze dowiodły, że jakiś mieszczanin kijowski z szaleństwa zapalił własny dom i w ogień skoczył. Pożar 17 Sierpnia rozpoczął się w południe i „był tak straszny, jakiegom nigdy nie widział“ — pisze świadek współczesny. Pod wieczór rozszerzył się jeszcze skutkiem wichru. „Nam, z góry patrzącym, — dodaje — piekło albo Sodomia i Gomora widziało się. Nieochybnie byłoby po naszym obozie, gdyby na wysokiej górze założonym nie był“. Wszystkie kramy, wszystkie rzeczy, wszystkie towary pogorzały. Straty, wynikłe stąd, były olbrzymie i stały się ruiną miasta, które przez długie lata podnieść się z tej klęski nie mogło. Ocalały cudem kościół Dominikanów, gdyż spostrzeżono w czas żarzącą się głównie w kopule i zgaszono, jako też kościół katedralny. Nieszczęście chciało, że klęska ta przypadła na chwilę obozowania w Kijowie wojsk litewskich, na chwilę zatargów kazacko-polskich, na chwilę wzajemnego rozdrażnienia i żalów, stąd też utworzyła się najfałszywsza legenda o wzniesieniu pożaru przez Polaków.

Gdy się to działo w Kijowie, Hetman W. K. zataczał obóz pod Powołoczą i powoli podążał ku Kijowowi. dla połączenia się z wojskami litewskimi. Chmielnicki, zebrawszy nad Rusawą trochę niedobitków i nowych sił, z obozem kozackim posuwał się ku idącemu na Białą Cerkiew Hetmanowi W. K., próbując powstrzymać pochód traktatami i zyskać na czasie. W poprzednim rozdziale prześledziliśmy cały przebieg układów aż do zakończenia niezbyt szczęśliwym traktatem Białe-cerkiewskim potrzeby Beresteckiej.

Kijów.

Fr. Rawita Gawroński.





Fot. „J. Golez”.

Wystawa Tow. „Odlam”. Ściana wprost wejścia.

Pierwsza wystawa Tow. „Odlam”.

Wielka sala „Zachęty” wygląda odświętnie, wesoło, jasno; światło, umiejętnie zmatowane przez rozciągnięty na suficie muślin, płynie całymi kaskadami, zalewa, kąpie nową wystawę. A wystawcy?—to prawie wszyscy znani już ogółowi, przeważnie siły miejscowe, warszawskie, stanęły do wspólnego popisu, do walki o dobro, o cele, o życie tejże sztuki. Czasy ostatnie, te chwile straszliwe, jakie przeżyliśmy, wycisnęły swe mordercze piętno i na stosunkach produkcji artystycznej, dały się uczuć wszystkim; to też, aby podolać tak wielu biedom, lawiną idącym na nas, „Odlam” skojarzył w swym łonie ludzi różnego wieku i zasługi, choć jednej tendencji artystycznej, jednej w szerszym rozumieniu idei przewodniej.

Te kilkadziesiąt obrazów i rzeźb dają dokładne pojęcie o rodzaju naszej miejscowej twórczości, pokazują *ad oculos* jej właściwości, jej braki i jej najlepsze strony.

Dzięki temu, że Jagmin, jeden z najruchliwszych naszych młodych rzeźbiarzy, bierze udział w wystawie, „Odlam” jest udekorowany sporą ilością prac sztuki stosowanej; na wszystkich gzymsach widzimy śliczne prace ceramiczne, małe o wytwornych kształtach wazy, flakony, patery, pełne fantazy i wybornego wykonania technicznego. Polewy tych rzeczy należą do bardzo daleko posuniętej sztuki, sztuki, zasługującej na wszelką pochwałę i wyróżnienie.

Tuż obok, jak zawsze, dzielnych prac Stanisława Lenca, portretów ma-

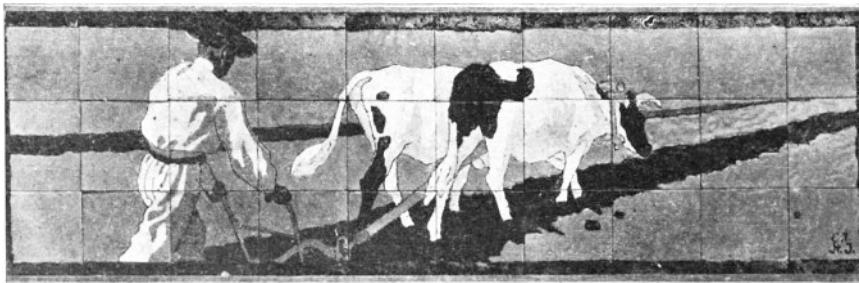
lowanych silnie i brawurowo, zadziwiająco żywych i nieomylnie podobnych, widzimy prace kilku mniej znanych portrecistów; uderza nas niezwykłością wyrazu praca Grombeckiego; ta dużych rozmiarów akwarela jest wprost doskonałą, ów człek o wielkich wąsach, o kapitalnie namalowanych oczach, tak przekonywająco żywych i prawdziwych, poprostu więzi uwagę widza. Witamy w panu Grombeckim siłę indywidualną i wybitną. Z pomiędzy kilku portretów Piekarskiego najlepszym jest dama w „chabrowej sukni”; jest to dzieło sztuki ze wszech miar interesujące, tak pogłębieniem wyrazu portretowanej osoby, jak i wyborną, bardzo już artystyczną całością, co sprawia razem więcej obrazową, niż portretową całość, ale wprost doskonałą. Znako-mite zawsze drzeworyty barwne Krasnodębskiego wszyscy mają jeszcze w pamięci z ostatnich wystaw; te prace graficzne portretowe są u nas bez konkurencji; artysta paru tonami barw-

nemi wydobywa taką siłę plastyki i taki kładzie kapitał życia w swe prace, że każe zapominać o tem, że mamy przed oczyma: „drzeworyty”. Głowa „śmiejącego się dziecka” jest dalszym etapem w rozwoju oryginalnego artysty.

Prace Edwarda Okunia należą do najbardziej dekoracyjnych na wystawie. Jego „Króliki” stanowią jedną z istotnych ozdób „Odlamu”; znać tu artystę, doskonale władającego środkami swej sztuki; niemasz tam nic przypadkowego, twórca zna swe cele i osiąga je z łatwością.

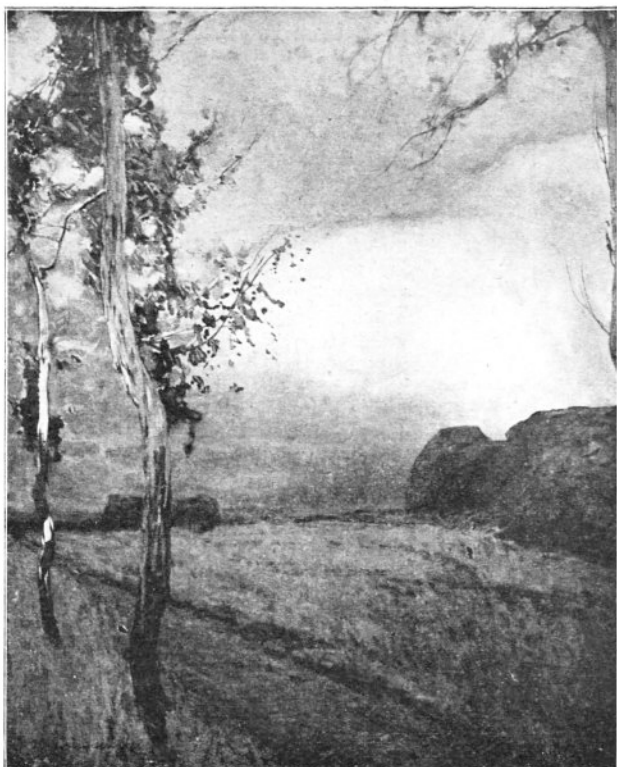
Prace, pomieszczone w mniejszej sali: „Cieplarnia”, jak i „ex-librissy”, są sztuką dystygnowaną i piękną.

Już z samych tytułów: „Pani róż”, „Źródło miłości”, „Jakób i Rachel”, „Ogród miłości”, „Muza”, „Szepty morza”, „Madonna”, poznajemy Gawińskiego. Ten tak „literacki malarz” i „malarzki literat” jest reprezentowany doskonale; całe jego pojęcie sztuki i jej celów, cała metafizyka osobista zawarta w tych małych akwarelach, zdaleka, jak illuminowane karty starego



Fot. „J. Golez”.

Jagmin. Woły.



Fot. „J. Golez”.

Władysław Wankie. Pejzaż.

rękopisu, wyglądające, są sztuką indywidualną, osobistą ściśle, interesującą.

Noskowskiego to zasługą doskonała dekoracja ścian wystawy; nie mało pracy i gustu a zrozumienia poświęcił tej sprawie. A małe pejzaże, jakie widzimy na wystawie, małe przeważnie formatem, są *ważkie* treścią; nie wielu naszych malarzy posiada tyle stylu i poczucia formy pejzażowej.

Oprócz prac Jagmina, — „Pocałunek” — rzecz ciekawa niezwykle przez swój niezwykły wyraz i przez wykonanie ceramiczne, — uderzają widza rozmachem i siłą wewnętrzną dwie głowy Brajera. Jest to mało dotąd znany rzeźbiarz, artysta doprawdy z Bożej łaski; rzadko się i po najszerszym świecie zdybie taką siłę i tyle niefałszowanej prawdy życia.

Koźniewskiej i Janowskiego Ludomira dwie portretowe prace, jak zawsze, bardzo dobre, posiadają niebezpieczne sąsiedztwo Żmurki. Ten obraz tak

dorównywa sławnej jego „Heterze”, ale jest obrazem mocnym, gorącym i namiętnym w wyrazie.

Z kilkoma pejzażami wystąpił Popowski: te sobie ulubione chmury artysta waryjuje na rozmaity sposób, choć w „Grobowcu wodza” nagle inną stronę odsłania swej duszy.

Kowalewskiego jeszcze nie widzieliśmy ani w takim formacie wielkim, ani tak doskonale opracowanego. Ten wielki pejzaż może być ozdobą każdej poważnej wystawy. Z pomiędzy śniegowych jego niotywów, uderza nas grupa drzew, rysowana niezwykle, sformułowana jasno i dzielnie.

Straskiewicz został wierny poetycznym zachodom, zmierzchom, barwom stłumionym, którymi doskonale wojuje w swym arcytypowym „Brzasku na moczarach”.

„Chot' umru, to me bude widno” — powiedział portretującemu Chełmoń-



Fot. „J. Golez”.

Piekarski. Portret.

znanego powszechnie artysty, posiada siłę koloru wyjątkową i trudno z nim konkurować. „Carmen”, po drugiej stronie ściany wisząca, może nie

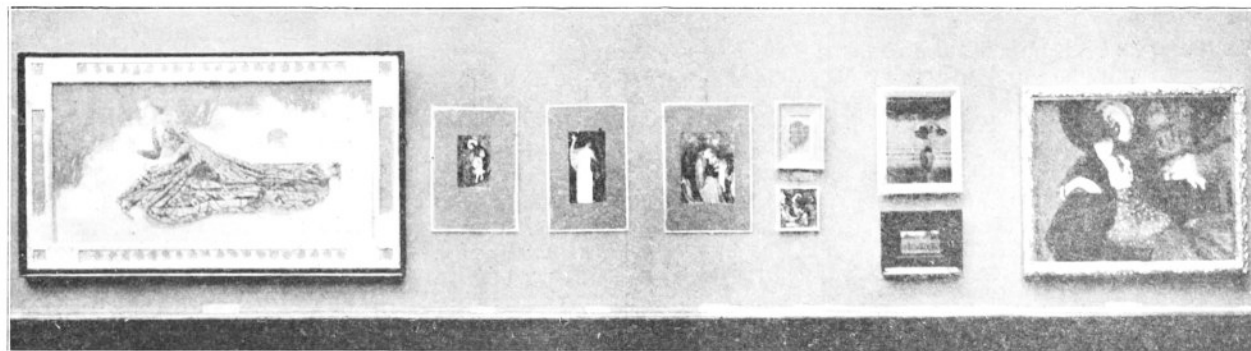
skiemu prześwietny molojce, którego artysta malował w przeszłym roku na Białej Rusi. Kto ma zrozumienie temperamentu, kto umie wżyć się w okazany w sztuce temperament, ten nie zapomni tych dwóch arcydzieł rysunku wielkiego malarza.

Prócz dwóch rysunków, jak zawsze, kapitalnych Tańskiego, widzimy jeszcze przez Jagmina w majolikowych taflach wykonane dwa „fryzy” Tańskiego; te dekoracje są i dla tego jeszcze godne wielkiego uznania, że są u nas w kraju pierwsze; nikt tych rzeczy dotąd w kraju nie podejmował, a jakie tu wielkie pole dla działalności zdobniczej!

Wielce utalentowany Ziomek kilku pracami zdobi „Odlam”. Najlepszą chyba jest „Zakątek”, obrazek pełen uczucia, sentymentu i właściwej autorowi liryki, barw silnych, choć ściśszych i karnych.

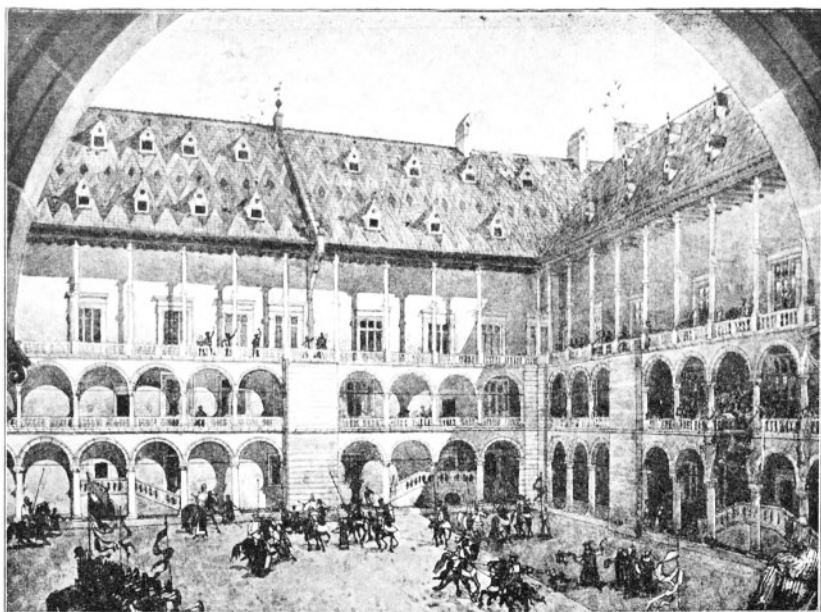
Jeśli na zakończenie sprawozdania powiemy, że Wojciecha Kossaka „Rok 1812” jest świetnym dziełem sztuki, to wypowiemy zdanie ogółu: obraz ten i w głośniejszej działalności Kossaka nie ma wielu sobie równych: te postaci posiadają urok nieporównany.

Władysław Wankie.



Fot. „J. Golez”.

Jedna ze ścian wystawy Tow. „Odlam”.



Dziedziniec zamkowy na Wawelu po odnowieniu. Projekt S. Odrzywolskiego.

Zmartwychwstający Wawel.

Rok pracy upłynął.

Odnowieniem Wawelu coraz żywiej interesują się obcy. Mieliśmy już w Krakowie wizyty niemieckich znawców, którzy z zajęciem oglądali postępy robót restauracyjnych. Wielkie dzieło, które dla nas jest przedewszystkiem aktem narodowego pietyzmu, ma obok tego niepospolite znaczenie powsechno-kulturalne i z tego tytułu staje się już dziś przedmiotem uwagi kół artystycznych i naukowych po za granicami Polski.

Już same rozmiary czynią z restauracji Wawelu światowy wypadek. Z wyjątkiem zamku malborskiego, na wschodzie i północy Europy nie był wogóle dotąd podjęty taki ogrom zadania. Czeski Hradczyn, w dzisiejszej swej postaci o wiele późniejszego pochodzenia, niż pałac Zyguntów, nie znajdował się nigdy w stanie takiego upadku i braku ochrony. Zamek królewski w Budzie jest wprawdzie większą, ale w gruncie rzeczy nową budowlą, założoną tylko na starych fundamentach. Tu odcyfrowany ma być obraz z XV i XVI w., zatarty i zniszczony do niepoznania, zrujnowany neliłościwie przez czas, ludzi i katastrofy, ale mimo wszystko — niezniszczony jeszcze, istniejący.

Nauka ma przed sobą problem niełatwy i niezmiernie ciekawy.

Dla Wawelu jest to prawdziwym szczęściem, że do zrestaurowania go nie przystąpiono wcześniej. Przy dotychczasowych większych restauracjach świadomość doniosłości i różnorodności łączących się z tem zadań artystycznych nie była tak wyklarowana, jak dziś. Wiele kwestyj spornych nie umilkło wprawdzie i teraz, jednakże naogół umiejętność odtwarzania zabytków, za-

początkowana tak prosto i genialnie przez Viollet le Duc'a, uczyniła ogromne postępy, z których Wawel nasz w całej pełni może skorzystać.

Kierownictwo odbudowy Wawelu trzyma się też ściśle nowoczesnych zdobyczy, osiągniętych na tem polu. Rozważne, bez szkodliwego pośpiechu prowadzone badania i poszukiwania pozwoliły stwierdzić przedewszystkiem, co zostało z rozmaitych epok budowy zamku, jak poszczególne uwarstwienia wiązały się z sobą, a następnie dopiero nakreślono w ogólnym zarysie program restauracji. P. Hendel zebrał już plon swej benedyktyńskiej cierpliwości. Metodą powyższą powiodło mu się poczynić niezmiernie ważne odkrycia zarówno techniczno-konstrukcyjne, jak artystycznej i historycznej natury.

Obecnie przystąpiono do pierwszej twórczej roboty na zamku: do odnowienia „na próbę” małego skrzydła południowego.

Przez całą zimę ubiegłą trwały przygotowania. Sporządzono dokładne szczegółowe rysunki. Wykonano w gipsie odlewy wszystkich rzeźb i na zasadzie tych odlewów przystąpiono do robót kamieniarskich, które w jednej trzeciej części są już wykonane. Całe skrzydło aż do szczytów dachu kryje las rusztowania. Praca wre tu już na dobre.

Nad drugim piętnem krużganków powstaje wspaniały strop kasetonowy, taki, jaki tam był za Zyguntów. Wskreszenie tej niepospolitej ozdoby, podobnie, jak wielu innych zrujnowanych lub zupełnie zatraconych ozdób Wawelu, będzie dziełem mozolnych studyów, o których ogromie nabiera się pojęcia dopiero wtedy, gdy się na

miejsu wnika we wszystkie ich szczegóły. Stare kasetony znikły bez śladu. Trzeba było skomponować nowe; czyniąc wszystko możliwe, aby były w charakterze i w stylu odtworzeniem tamtych. Architekt miał przed sobą opisy. Ten suchy materiał ożywić, kazać mu wcielać się po raz drugi, było zadaniem nad wyraz trudnym. Użyto środka pomocniczego: odszukano i zdjęto wszystkie stare stropy krakowskie i na tej podstawie dopiero przystąpiono do pracy kompozycyjnej. Trochę lepiej było z rozetami, które w kasetonach miały się znaleźć. Rozety dawne, Zyguntowskie, z których każda była inna, znikły także. Tylko cztery zachowały się: jedna w posiadaniu Muzeum narodowego, trzy w gabinecie historii sztuki uniwersytetu Jagiellońskiego. Czterech tych rozet postanowiono użyć w kolejnej zmianie. Są prześliczne. Jakiż wspaniały musiał być widok, gdy każda w niezliczonym szeregu była odmienna.

Strop krużgankowy, wykonany z drzewa modrzewiowego, bogato rzezbiony i polichromowany, z rozetami złoconymi z drzewa lipowego, będzie od szeregu wieków pierwszym monumentalnym stropem drewnianym w Polsce. Długość całej galeryi, którą nakryje, wynosi trzydzieści dwa metry. Drobny fragment, który już wykonano na próbę, pozwala przewidzieć, jakie potężne wrażenie barwności i bogactwa profilów będzie dawał ten królewski pałac.

Dołem, tuż pod nim, biegł na ścianie trzy metry wysoki fryz figuralno-barwny z postaciami nadnaturalnej wielkości, ujętymi w ornament renesansowy. Z wysokości więcej, niż dwudziestu metrów, lśniło to malowidło, widzialne z najdalszego zakątka widźwca. Z kasetonowym i polichromowanym stropem powyżej, z przewieszonym przez balustrady szeregiem dywanów i gobelinów, z kolosalnymi oknami w tylnej ścianie krużganka, jakże czarujący widok musiał przedstawiać ten dziedziniec królewski! — woła dziś cudzoziemiec, błądzący wśród murów Wawelu, które sztuka i praca polska na nowo ożywiają.

Z dawnego fryzu znaleziono w skrzydle południowym pod tynkiem ślady, względnie dobrze zachowane. Są tu medaliony z nieznanymi jakimiś postaciami historycznymi, festony kwiatów i owoców, typowo włoskiej roboty. Prawdopodobnie znajdują się także dalsze fragmenty, i cały fryz będzie mógł być orestaurowany. Jest jeden tylko w Polsce artysta, powołany do tego niepospolicie trudnego zadania: odnowiciel kaplicy ruskiej na Wawelu, Julian Makarewicz.

Dalszą pracą będzie wymiana dzisiejszego dachu na dach kolorowy, jak był dawniej, oczywiście, tymczasem zawsze tylko nad południową częścią krużganków.

Struktura dawnego dachu jest znana. Nieocenione informacje daje pod tym względem stary sztych współczesny, który przechował się w dwóch egzemplarzach. Problem do rozwiąza-

nia przedstawiała natomiast strona barwna. Tu znowu do głosu przyszła intuicja i pomysłowość kierownictwa budowy.

Wskazówki znaleziono—w ziemi.

Przekopanie całego dziedzińca wawelskiego, w niektórych miejscach aż do dwunastu metrów wgłąb, dostarczyło wogóle wiele materiału do zamierzonego odnowienia. Przedewszystkiem wspaniałe kapitele, wśród których nie było dwóch jednakowych, około tysiąca ułamków kafli i sporo kolorowych dachówek.

Te smutne resztki przemówiły.

Z ułamków kafli, pochodzących ze starych pieców i kominów zamkowych, nie dało się wprawdzie złożyć żadnej całości, nie mniej získano niezwykle ciekawe i cenne wzory wyrobów z różnych czasów i krajów, od sycylijskich aż do krakowskich imitacji obcych wzorów i krakowskich oryginałów. Zwłaszcza te ostatnie przyniosły wiele zajmujących niespodzianek, pokazało się bowiem np., że barwy ich i motywy ornamentalne są zupełnie takie same, jakie i dziś spotykamy na naszych wyrobach ceramicznych. (Znaleziona w głębokości siedmiu metrów zabawka dziecienna, glazurowana gliniana gwizdanka w kształcie konika — niewątpliwie pochodząca z XVI w. — jest taka sama, jakie dziś jeszcze wyrabia się i sprzedaje na jarmarkach krakowskich.

Otóż odgrzebane dachówki kolorowe dały barwy do projektowego nowego pokrycia dachu: niebieską, zieloną, białą i żółtą. Deseń tylko będzie musiał być skomponowany, o ile nie znajdzie się jeszcze jakim szczęśliwym trafem wzór geometryczny dawnej polichromii dachowej.

Wreszcie zmieniona będzie attyka dzisiejsza na taką, jaką była przed wiekiem jeszcze i usunięte zostanie zupełnie obmurowanie ślicznych krużgankowych kolumn, które tym sposobem zabłysną znowu w swej dawnej i zadziwiająco lekkiej i strzelistej postaci. Zwiertzałe kolumny obecne będą musiały być oczywiście zamienione na nowe, wykonane ściśle na wzór tamtych.

Tym sposobem całe skrzydło południowe pałacu ukaże się na nowo w przepychu i wdzięku swych starych form. Wysoki i stromy, śmiało zarysowany dach, grający ciepłymi barwami dachówek, pierwotna malownicza attyka, rzeźbiony polichromowany strop, łączący się z szerokim zewnętrznym fryzem, wielkie otwory zamurowanych dziś okien, wychodzących na krużganki, którym smukłe kolumny przywrócić ich właściwy charakter, to wszystko zleje się w pełną krasy całość, dającą tej części zamku wygląd, jaki miała w swoich dniach dobrych, gdy wspaniałe dwór monarszy załudniał komnaty Wawelu.

Praca jest w pełnym toku. Będzie skończona niezadługo, może w jesieni.

Wnętrze stoi tymczasem opustoszałe. Tu roboty rekonstrukcyjne nie

zaczyna się rychło. Tymczasem ograniczono się do badań, które w wielu kierunkach dały nader cenne wyniki. Po usunięciu obmurowań drzwi i okien odsłoniły się tu i owdzie dawne rzeźby w napół jeszcze dobrym stanie. Gotyk i wczesny renesans włoski wiążą się tu w zajmującą całość z motywami krakowskiego snycerstwa. Powtarza się w kamieniu motyw skręconych prętów, tak ulubiony przez Wita Stwosza. Różnorodność ornamentu rzeźbiarskiego jest jeszcze dziś niewyczerpana, a przecież zatarto i zniweczono tu tyle, w szczególności, niestety, właśnie ozdoby, które wedle świadectwa obcych nie miały sobie równych w historii sztuki. Z drogocennych stropów drewnianych, które nakrywały wszystkie komnaty, ocalało tylko parę. Modrzewiowe, niezwykle głębokie kasetony są dziś całkowicie zniekształcone, lecz po cierpliwem i umiejętnem odnowieniu zajaśnieją znowu pierwotnym przepychem, gdyż, jak przedsięwzięte próby wykazały, pod warstwą dymu i kurzu zachowały się dotąd stare, kosztowne ich barwy. Być może, uda się jeszcze odnaleźć jeden i drugi plafon po usunięciu obecnych tynkowanych sufitów.



Wyczółkowski. Dziedziniec Wawelu.

Bezpowrotnie stracony jest sławny strop sali sejmowej, gdzie zamiast zwykłych rozet tkwiło 147 głów rzeźbionych.

W najlepszym wypadku za kilka lat dopiero stanie się aktualnem wewnętrzne urządzenie i dekoracja Wawelu.

Tymczasem już dziś gromadzą się zwolna przedmioty, które do tego celu posłużą. Pierwsze miejsce zajmuje tu siedem przepysznych pieców z XVII i XVIII w. z zamku Wiśniowieckich (zakupionych z centowych składek na Wawel, zbieranych przez p. Ulanowską), są dalej fragmenty rozetrzanych starych domów krakowskich: trzy profilowane i polichromowane stropy, dwie stare kolumny międzyokienne z kapitelami i bazami, jedno wczesnorenesansowe obramienie drzwi, wiele ornamentów.

Dopływ jest ciągły. Powinna o nim cała Polska pamiętać.

Kraków.

Clarus.



Narodziny słowika.

Fantazja.

Na dworze królewskim rośło pacholę, sierotka, o złocistych kędziorkach.

Matrony i dziewice przydворne darzyły je słodyczami i, piesząc bez liku, nazywały „złotowłosym pazikiem”.

Początkowo pazik wraz z innymi nosił kraj purpury królowej. — potem, stając na podnóżach tronu, trzymał wieniec i wstęgi na trofea ryckie.

Królowa była młoda, piękną i miała przedziwne oczy: jaśniały w nich i majestat królewski, i naiwność pasterki.

Bezgraniczna słodycz i głębia błogiego ciepła jej spojrzenia ogarniały, tuliły i przenosiły w nieznane przestworza uludnych rozkoszy — bez początku i bez końca...

I to pieśńocliwie spojrzenie łagodziło gniew i wzbudzało litość—nawet w sercu okrutnego tyrana, starego króla-męża.

Nadszedł dzień, gdy złotowłose pacholę przemieniło się w młodzieńca: albowiem spostrzegło, że oczy królowej przenikają mu w duszę... i czuło jakiś dziwny, nieznany dreszcz rozkosznego zachwyty.

Przeraził się, nie śmiał podnieść oczu na królowę, cierpił i zachwycał się: wszędzie widział przed sobą cudne oczy królewskie...

Uciekł w głąb parku zamkowego i tam z piersi jego popłynęła drżącym potokiem pieśń, zrodzona w duszy i sercu stworzonem.

Odtąd codziennie wieczorem wśród kwiecistych krzewów pieśń tę powtarzał, — a była ona taka rzewna, taka odmienna, że się sam zasluchiwał.

Królowa, nie srebrną przedać przy oknie, usłyszała tę drżącą nieznaną melodyę... Jęła wsłuchiwać się, a miesiąc wypłynął z za baszty zamkowej i oświecił barda śpiewającego:

„O, jakże jestem szczęśliwy, że mogę codziennie patrzeć w oczy, o jakich nie śniłem nawet w mych marzeniach młodzieńczych”.

„Twoje oczy królewskie—to oczy Miłosierdzia i Przebaczenia”.

„Patrzyłbym w ich głębię z lubością i niegasnącem zachwytem aż do końca dni moich, a potem uniósł w wieczność ich obraz i wspomnienie”.

Królowa rozmarzona, porwana, wychyliła się z okna i pieśnią upajać się poczęła. A paź śpiewał dalej:

„Bo oczy twe, królowo, to uśmiech wiosny, która życie wskrzesza, to cicha pieśń macierzyńska, która koi cierpienia dziecięcia, to woń precudna kwiecia, co pieści i odurza”.

„Niech słowa moje nie wywołają rumieńca obrazy na twe boskie lica, nie miej żalu, o, królowo, za pieśń hołdu, który u stóp twoich składam”.

„Ja tylko modłę się do ciebie...”

Naraz królowa ujrzała z przerażeniem króla wybiegającego z bramy zamkowej.

Błysnął miecz i wrażony w serce przerwał pieśń złotowłosego pazika...

Bluznęła krew sieroca, kraszając purpurą kwieciste krzewy...

A z ukrytego gniazodka zerwała się splotzona ptaszyna i uleciała, kwiląc załóżnie.

W porzuconem gniazdku zostawiła piskłę, nie wyklute jeszcze.

A krwi krople gorące, spływając z serca do gniazodka, grzały, jak ciepło macierzy...

I narodził się pierwszy słowik — i dośpiewał przerwaną pieśń pazika.

Gamaston.

Głosowanie kobiet.

Wywiad u pani Maryi Turzyny.

Przybywa nowa kwestya: praw wyborczych kobiety.

W Finlandyi, tym dziwnym małym kraju, który umiał tak cudownie rozwiązać u siebie przeciwieństwa, gdzie indziej uzbrajające ludzi do zaciętych walk, kwestya ta już nie istnieje: w najwyższym celu prawodawczem kobieta zasiada obok mężczyzny, równana w prawie stanowienia o losach państwa. W Anglii walka o kartkę wyborczą goręje pełnym płomieniem. Nie można wątpić, że prędzej, czy później, wyłoni się w innych krajach zachodnich i stanie się tak samo aktualną i naturalną, jak zabiegi wszystkich upośledzonych o zdobycie całkowitych praw politycznych.

Od niedawna istnieje już w Austrii. Rzecz nader charakterystyczna, że praktycznie podnieśli ją tu pierwsi—słowianie. W dwóch czeskich okręgach wybrano posłami do sejmiku kobiety. Wybór był demonstracją tylko, gdyż po nad wolą wyborców stoi jeszcze ustawa, która nie dopuszcza kobiet do żadnego z ciał przedstawicielskich. Równocześnie u nas, we Lwowie, postawiona została do sejmiku kandydatura kobiety, panny Maryi Dulębianki, znanej z pracy społecznej i częstych publicystycznych wystąpień. Pierwsza kandydatka polska nie „przeszła”. Użyła przeciw poważną liczbę głosów bez żadnej prawie agitacji, dystansując wielu współzawodników męskich. Dla najbliższej przyszłości głosy te będą już miały praktyczne znaczenie: nowa „kwestya” odebrała przez nie swój chrzest na gruncie naszego życia.

Jest niewątpliwie coś drażniącego w tym stanie rzeczy, który kobietę skazuje na wieczną małoletniość pod względem praw przy równoczesnym pociąganiu jej do odpowiedzialności, gdy idzie o obowiązki. Ustawa, która wyrazem „wszyscy obywatele” nie obejmuje obywateli płci żeńskiej, stawia faktycznie połowę ludności po za społeczeństwem i dla współczesnego umysłu musi być takim samym anachronizmem, jak wszelki przywilej czy upośledzenie, oparte na trafie urodzenia.

Jak prędko zniknie ten anachronizm? Zależać będzie od natężenia, od siły ruchu „wyzwoleńczego” wśród samych kobiet. Z prośbą o trochę wyjaśnień w tej ostatniej materii odnośnie do naszych stosunków zwróciliśmy się do pani Maryi Turzyny, redaktorki dwutygodnika „Nowe słowo” i jednej z najwybitniejszych u nas przedstawicielek tego prądu, którego objawem jest wszczynająca się walka o prawo wyborcze kobiety. Pani Turzyna uchodzi za entuzjastkę, jednakże dość trzeźwo patrzy na stan rzeczy. Nie popełnia typowego błędu entuzjastów, którzy pragnienia swe biorą za rzeczywistość.

Pytanie nasze brzmi:

— Jaką siłę zbiorową przedstawiają dziś kobiety w Galicyi, które domagają się praw wyborczych?

Odpowiedź:

— Powiedzmy szczerze: nie przedstawiają żadnej siły. Słabe odruchy sporadycznej i zupełnie rozproszonej agitacji ponawiały się z górą od dziesięciu lat. Pierwsza akcja za prawem wyborczym w Zachodniej Galicyi była podjęta w r. 1895 przez mieszkanki Białej, które na skutek rekursu otrzymały orzeczenie trybunału państwowego, przyznające czynne prawo wyborcze do sejmiku z kurii miejskiej. W r. 1896 krakowianki wniosły petycję do Rady miejskiej, aby pozwolono im głosować osobiście, nie przez pełnomocników. Odtąd podczas każdego wyborów odbywały się w Krakowie i we Lwowie zgromadzenia, na których wybierano komitety kobiece dla agitacji za rozszerzeniem prawa wyborczego kobiet. Komitety te miały również zająć się agitacją na rzecz posłów, którzy oświadczają się za politycznym równouprawnieniem kobiety. Dość energicznie działał taki komitet, zawiązany w r. 1902 i ten przyczynił się najwięcej do rozbudzenia świadomości, jakie prawa i obowiązki daje kobiecie kartą wyborczą. Jednakże wszystko to było dorywcze i nietrwałe. Były kilkukrotnie, zakończone



Marya Turzyna.

gorącymi uchwałami, za którymi nie poszło żadne systematyczne działanie. Były dwa pisma: „Ster” we Lwowie i „Nowe słowo” w Krakowie, które miały na celu skupić siły do walki o równouprawnienie...—i upadły dla braku poparcia. Był zjazd w Krakowie, który większą część czasu obradował nad sprawą zdobycia wyborczych praw, lecz przebrzmiał bez echa. W roku ubiegłym zawiązał się w Krakowie komitet pod takim samym hasłem, zwołał parę zgromadzeń, wydał odezwę, zapowiadającą stałą akcję w całym kraju, i zniknął, tak, że podczas ostatnich wyborów nie dał znaku życia. Entuzjazm chwilowy rozpryskiwał się, jak rakietą, i ginął bez śladu.

Jest to faktyczny stan rzeczy, jak widzimy, daleki od wytworzenia się siły, zdolnej przekształcić dzisiejsze warunki ustawowe na korzyść kobiet. A oto przyczyny tego, tak, jak się przedstawiają p. Turzynie:

— Falszywą była od początku taktyka. Były dwie bramy, przez które kobiety miały dostać się do ciał ustawodawczych: bezpartyjność i socjalizm. Główną odpowiedzialność ponoszą pierwsze kierowniczki ruchu, które w imię „wszechkobiecości” żądały od wszystkich kobiet jednych przekonań, jednej woli, jednego poglądu, mającego obszerne miano: bezpartyjność. Nie uwzględniano, że mimo swego małego wyrobienia politycznego kobiety są równie, jak mężczyźni, kon-

serwatywne i postępowe, klerykalne i wolnomyślne. Parasol z hasłem „bezpartyjność” miał głównie służyć za gromochron, odcinający pioruny podejrzeń, że kobiety, domagające się prawa wyborczego, są socjalistkami, gdyż socjalizm, dążący do zdobycia równych praw dla wszystkich, obiecywał dać je i kobietom. Tu także skierowała się pewna część kobiet ze swymi dążeniami i nadziejami. Lecz widoki uzyskania praw przez socjalizm miały małe zastrzeżenie: „gdy zmienią się ustroje społeczny”. Na razie partya nie uznawała za stosowne trudzić się walką o prawo wyborcze kobiet, przedstawiając na ofiarowaniu ponętnej perspektywy. Ponieważ wiele kobiet pragnęłoby osiągnąć to prawo jeszcze przed zmianą ustroju, zniechęciło się szybko—i tak obie metody działania, obie taktyki wykazały swą nicość praktyczną.

Pani Turzyna sądzi, że ruch kobiecy będzie musiał w przyszłości popłynąć zupełnie odmiennym korytem. Kobiety, zdaniem jej, nie powinny w imię swej kobiecości odgradzać się od życia w jego jedynie racjonalnym ukształtowaniu: na partye.

— Skoro chcą wyjść z tego ghetta, które trzymało je po za społeczeństwem, nie mogą tworzyć wyłącznie kobiecych organizacji, które są jakoby uznaniem i przedłużaniem owego ghetta. Powinny wstępować do stronnictw i organizacji mieszanych i tam wspólnie z najbliższymi sobie pod względem przekonań mężczyznami walczyć o prawa obywatelskie dla wszystkich, a więc i dla siebie. Oczywiście, samo z siebie wyniknie, że stronnictwa zachowawcze kobiet nie przyjmą i nic im nie dadzą, bo one za wszelką cenę przedłużają ich trwanie swego uprzywilejowanego stanowiska. Ale wszystkie odcienia partii postępowych powinny mieć w swoich szeregach kobiety do wspólnej pracy i do wspólnego żniwa. Tą drogą zdobyły finlandki swoje prawa wyborcze.

— Wspólnie więc nie działałyby kobiety wcale?

— To nie... Gdy przyjdą dni wyborów, kobiety, wyrobione już w pracy obywatelskiej, mogą stworzyć blok dla poparcia swoich żądań. Sądzę jednak, że nie kobiety mają wybierać kobiety, a mężczyźni mężczyzn, lecz jedni i drudzy wybierać powinni tych, których uznają za godnych i dość silnych, aby bronić ich interesów w gminie, w sejmie, czy parlamencie—bez względu na płeć.

Wynurzenia p. Turzyny, która w naszym ruchu kobiecym zajmuje lewe skrzydło i uchodzi w pewnych kołach za „skrajną feministkę”, malują dobrze, czym jest u nas ów okrzykany feminizm, któremu bezmyślność nadaje jakieś kształty apokaliptyczne: jest on prostopo naturalnym prądem demokratycznym, który za cel wziął sobie obalenie jednego z najgłupszych i najbardziej nieludzkich przesądów: przesądu płci.

Kraków.

Stosław.





Jan Moniuszko. „Król Maksymilian I-szy nadaje order kanonicki kapitule płockiej”.

W muzeum płockiem.

Płock nasz starożytny należy do miast zgoła wyjątkowych w kraju: posiada własne muzeum. Założył go ś. p. biskup Szembek przy gruntownym restaurowaniu katedry płockiej przez Szyllera, a wzbogacone ono zostało pięknym darem: ks. Józef Mrozowski, proboszcz dawniej w Czernikowie, obecnie



Ks. kan. Józef Mrozowski.

prefekt szkół warszawskich i kanonik katedralny, dał muzeum cały szereg obrazów starych szkół włoskich.

Znawcy ocenili wartość daru tego na 60 tysięcy rubli.

W ten sposób Muzeum płockie posiadało prawdziwie wspaniałą, jak na prowincjonalne zbiory, galerię obrazów pędzla obcego.

Brakło w niej — polskiej szkoły. Ks. Mrozowski postanowił dar swój dopełnić paru obrazami polskimi i w tym celu zwrócił się do Jana Moniuszki, artysty, posiadającego w tak wysokim stopniu dar kompozycyjny (umyślnie przez młode pokolenia malarzy zatracony) i żywe odczucie przeszłości. Na zamówienie tedy ks. Mrozowskiego wykonał nasz artysta szereg obrazów dla płockiego Muzeum,

z których dwa podajemy tu w reprodukcji.

Oba są historyczne. Jeden z nich opowiada po malarsku scenę gry Jankla z pana Tadeusza. Wielu naszych artystów kusiło się o wydobywanie efektów malarskich z tego pięknego obrazu mickiewiczowskiego, — przypominamy tu prace Andriollego i Piątkowskiego. Moniuszko po swoim ujęciu rzecz tę ujął: z rozmachem wielkim, w ruchu, z bogactwem szczegółów, archeologicznie zupełnie wiernych.

Drugi obraz wiąże się specjalnie z historią katedry płockiej.

Przedstawia on nadanie kanoni-

kom płockim w roku 1518 orderu krzyża św. Zygmunta przez Cesarza Maksymiliana I.

Bliższa notatka o tem zdarzeniu zainteresuje z pewnością czytelników naszych.

Poprosiliśmy o nią samego ks. kan. Mrozowskiego.

Oto, jak nam obraz Moniuszki objaśnił.

— W roku 1518 odbyła się w stolicy św. Imperium rzymskiego pod przewodnictwem cesarza Maksymiliana I narada książąt chrześcijańskich, obmyślających nową wyprawę przeciwko Turkom. Papież Leon X przysłał



Jan Moniuszko. „Jankiel”.

na naradę swoich legatów. Przybył też na nią Erazm z Krakowa, herbu Ciołek, biskup płocki, przedstawiciel króla polskiego, Zygmunta Starego. Po skończeniu narad biskup Erazm powiadział cesarzowi, iż w katedrze płockiej od wieków przechowana jest ze czcią głowa św. Zygmunta, króla burgundzkiego, umęczonego za wiarę około 500 r. św. Zygmunt jest właśnie patronem katedry i dycezyi płockiej. Cesarz Maksymilian, którego berlu podlegała w tym czasie Burgundya, był spadkobiercą św. Zygmunta, kapituła płocka prosiła go więc przez swego biskupa, aby nadał jej przedstawicielom oznakę, która by utrwalała więcej jeszcze pamięć tego bohatera wiary.

Cesarz Maksymilian znajdował się pod wpływem biskupa Erazma, który wywarł na nim wrażenie duże swoim rozumem i pobożnością; nadał więc płockim kanonikom na wieczne czasy prawo noszenia na piersiach krzyża złotego, ozdobionego niebieską emalią i czterema koronami cesarskimi w rogach; w połączeniu zaś ramion krzyża znajduje się herb burgundzki: trzy rzeki na błękitnym tle z koroną u góry. Na odwrotnej stronie krzyża—wizerunek św. Zygmunta.

Przywilej ten, zyskany w roku 1518 został następnie potwierdzony osobną bullą papieża Benedykta XIV w roku 1743.

W ten sposób order ten, którego do dziś dnia używa kapituła płocka, jest *jednym z najstarszych na świecie*, a słynny order złotego Runa, ustanowiony przez Filipa, księcia burgundzkiego, wyprzedza go ledwie o lat kilkadziesiąt.

Jan Moniuszko obraz swój malował wedle dokumentów historycznych. Obok cesarza Maksymiliana siedzi żona jego, z domu Sforza. Po lewej stronie obrazu, obok rycerza, trzymającego helm i miecz cesarski, stoi kanclerz państwa. Oznakę orderową przyjmuje sam biskup Erazm w otoczeniu trzech kanoników płockich: jeden z nich trzyma mitrę biskupią, drugi jego pastorał, trzeci relikwiarz srebrny z głową św. Zygmunta, sprawiony przez Kazimierza Wielkiego. Na galerii widać dzieci cesarskie z ich ochmistrzynią.

Wszystkie historyczne postaci Moniuszko malował z dokumentów, mianowicie ze współczesnych oryginalnych portretów, przechowywanych w Wiedniu i Monachium.

Pomysł obrazu tego należy do ks. kan. Mrozowskiego. Bardzo on szczęśliwy. I nadaje się doskonale do Muzeum płockiego. Przypomina on chwilę, kilka wieków już temu, połączeni byliśmy wspólnością życia cywilizacyjnego i wspólnymi instytucjami z zachodem.

Pamiętka, jaką przechowuje katedra płocka, nie wielu jest u nas znana. Obraz Moniuszki spopularyzuje ją z pewnością. I uczyni tem więcej interesującym do Muzeum płockie, które dowodzi, że w najtrudniejszych nawet warunkach, przy roztrpności wielkiej, można jednak dokonać rzeczy pięknych i doniosłych.

Włk.

„Zielony sztandar”.

Pesymistą jest autor „Zielonego sztandaru” p. Jan Biedroń, ale pesymizm to racjonalny, zdrowy, tętniący żądzą ulepszeń i reform, nie ten, który z rezygnacją zakłada ręce do bezczynności. Pomimo wszystko, co zrobiło się w Galicyi, w ciągu lat czterdziestu na polu gospodarczego postępu, stan rzeczy jest zawsze jeszcze niewesoły, a główny warsztat pracy narodowej: ziemia przedstawia się na ogół zbyt nisko pod względem kultury.

Cyfrы wskazują najlepiej, jak źle stoi u nas produkcya rolnicza i ile jeszcze wysiłków potrzeba, abyśmy dorównali krajom sąsiednim, które mają ziemię taką samą, jak my, lub nawet gorszą. Gdybyśmy z jednego hektara zbierali tyle cetnarów metrycznych, co np. czesi, zebralibyśmy w ciągu roku więcej:

pszenicy	1.742.634	ct. metr.
żyta	1.985.390	„ „
jęczmienia	1.999.241	„ „
owsa	2 298.595	„ „

czyli razem: 8.025.862, to znaczy w ciągu lat dziesięciu zebralibyśmy o 80.258.620 cetnarów metrycznych mniej, niż nasi sąsiedzi. Ponieważ przeciętna cena zbóż wynosiła w dziesięcioleciu od 1896 do 1905 za sto kilogramów 13.90 koron, stracilibyśmy zatem w tym niedługim czasie olbrzymią sumę 1.115.594.810 koron, uszczuplając o tyle nasz majątek narodowy.

Jest zatem pole do krytyki, do rewizyi całej naszej metody gospodarowania i związanej z nią polityki społeczno-ekonomicznej.

Krytykę taką podejmuje p. Biedroń. I oto jej główne linie.

Z natury rzeczy rozsądnikiem postępu rolniczego powinna być większa własność ziemiska. Lecz nie jest nim już dzisiaj i coraz bardziej zostaje w tyle za zdobyczami współczesnej teorii i praktyki. Przeciętnie biorąc, jest kultura rolna na obszarach dworskich niską, o wiele niższą, niż w Królestwie, mimo, że ceny za produkty rolnicze są tutaj znacznie korzystniejsze, a jedną z walnych przyczyn tego stanu rzeczy jest brak wykształcenia zawodowego i emigracya szlachty do urzędów. Nasze wyższe i średnie szkoły rolnicze są przepelnione młodzieżą z Królestwa, a na palcach nieledwie można policzyć tych ziemian galicyjskich, którzy uznają potrzebę zawodowej wiedzy. Synowie właścicieli dóbr zapelnili z nastaniem autonomii urzędy polityczne i autonomiczne, przenosząc pobyt w mieście nad pracę na roli. Prąd ten przybrał w niektórych

okolicach charakter formalnej ucieczki ze wsi, a w pewnych powiatach dzierżawy dochodzą do kilkudziesięciu procent. I tu łączy się z tym nawskroś smutnym objawem drugi: oddawanie majątków w dzierżawę żydom i spekulacya ziemią.

Ziemia stała się towarem, który, jak piłka, jest przerzucany z rąk do rąk, tak, iż stosunkowo niewielka tylko część gospodarstw większych zostaje dłuższy szereg lat w jednym ręku. Krótkoterminowe dzierżawy i zwiększająca się wciąż rola żywołu żydowskiego, który prócz kapitału i żyłki spekulacyjnej niewnosi z sobą nic do gospodarstwa wiejskiego, stały się istną plagą naszego rolnictwa na większych obszarach. Na 795 dzierżawców w Galicyi jest żydów 527, a ponieważ 475 majątków należy do nich, przeto połowa wielkiej posiadłości ziemskiej znajduje się w rękach żydowskich.

Jednoznaczne to, niestety, z upadkiem kultury rolnej!

Z każdym dniem zanika własność jednowioskowa. Zostają — olbrzymie latyfundya i własność chłopska. Szlachta polska, która do niedawna dźwigała cały ciężar obowiązków narodowych, ustępuje ze wsi. Dłonie chłopskie obejmują w spadku nie tylko ziemię, ale także związane z nią ciężary i obowiązki.

Żyjemy w przejściowym pod tym względem okresie, a przełom ten wpływa też w wysokim stopniu na obniżanie się poziomu kultury obszarów dworskich, która dopiero z czasem po przejściu w ręce chłopskie zacznie się na nowo dźwigać i podnosić.

P. Biedroń szczegółowo rozpatruje stosunki, poddaje krytycznej ocenie parcelacyę, krytykuje system subwencyi, który zamiast zdrowej organizacyi pracy wprowadza jałmużnictwo, demoralizując i zabijając zmysł samopomocy, omawia braki szkół rolniczych niższych (sześć liczy ich Galicya), którym zarzuca zbyt niewolnicze kopiowanie obcych wzorów, przeprowadza bilans działalności kółek rolniczych, rozbiera szczegółowo sprawę emigracyi, oświadczając się za zniesieniem wszelkich utrudnień i za celową, zorganizowaną emigracyą kolonizacyjną („kraj nie wyłudni się, bo daleko więcej ludzi ginie u nas corocznie przedwczesną śmiercią z powodu złego odżywiania się i niedźnych warunków życia”), przechodzi wreszcie po kolei stosunek poszczególnych stronnictw do wsi polskiej i jej potrzeb — i zaznaczywszy, że w celu wytknięcia drogi na przyszłość trzeba znać całą prawdę, choćby ona była bolesną i przykrą, wzywa wszystkich rolników do zorganizowania się pod „zielonym sztandarem”, pod sztandarem odrodzonej rolniczej Polski.

Książka o wyłącznie analitycznym i krytycznym charakterze jest wstępem do akcyi pozytywnej.

Kraków.

Ch.





Andrzej hr. Potocki na łożu śmierci.

Andrzej hr. Potocki.

Zamordowanie namiestnika Galicji przez 20 letniego studenta rusina jest pierwszym czynem terroru politycznego, jaki się w Austrii zdarzył od r. 1848, a jeżeli uwzględnimy, że ów pamiętny rok, w którym z ręki rozszalałego tłumu padł w Wiedniu minister wojny, hr. Latour, był rokiem rewolucji i powszechnego zamętu, to zbrodnię, dokonaną we Lwowie, wśród stosunków zupełnie normalnych i pokojowych, można oznaczyć, jako pierwszy wogóle tego rodzaju czyn w nowoczesnych dziejach państwa austriackiego.

Wrażenie, wywołane zamachem skrytobójczym młodego fanatyka, jest wprost wstrząsające, a potęguje je w wysokim stopniu osoba zabitego namiestnika.

Hr. Andrzej Potocki cieszył się, jako szef rządu krajowego, niezwykłą, można powiedzieć, wyjątkową sympatją. Od Agenora Gołuchowskiego, jeżeli pominiemy osobistości bezbarwne pod względem politycznym, żaden z jego poprzedników na krześle namiestnikowskim nie miał tak szczęśliwej ręki w unormowaniu swego stosunku do różnorodnych żywiołów politycznych w kraju. Wybitny członek stronnictwa zachowawczego w Galicji i jego właściwa głowa, hr. Potocki nie był skostniałym doktrynerem, uznawał konieczności, wynikające z przemiany pojęć i stosunków w społeczeństwie. Sprężysty szef administracji i znakomity urzędnik, był politykiem zręcznym i rozważnym, mężem stanu, dorastającym wysokiej miary. Za jego rządów zlagodniała namiętna dawniej opozycja partii ludowych, a najwybitniejsze z tych stron-

nictw przeszło do pozytywnego działania, wstępując do Koła polskiego. Kraj, niedawno jeszcze zawichrzony walcem wewnętrznym, uspokoił się, stosunki unormowały się. Potocki był głównym twórcą tej przemiany. Jego niepospolity rozum, takty i zręczność były też wysoko cennione w rządzie centralnym i u dworu, a cesarz obdarzał go zupełnem zaufaniem.



Z Tyszkiewiczów hr. Potocka, żona s. p. Andrzeja.

Że człowiek taki padł z ręki skrytobójcy, jest już samo przez się niezwykłą tragedią. Lecz tragizm faktu staje się wręcz bezprzykładnym, gdy uwzględnimy stosunek zmarłego do tego narodu, który mordercę wydał i który dziś—rzecz straszna do powiedzenia—solidaryzuje się z jego czynem.

W obozie zachowawczym w Galicji ścierają się z sobą od wielu lat dwa prądy odnośnie do sprawy ruskiej. Wschodni, „podolski” odłam tego obozu reprezentował zawsze kierunek odporny wobec narodowego ruchu rusinów, który, jako ruch nawskroś ludowy, niósł ze sobą równocześnie zapowiedź porachunków społecznych. Obudzenie się plemienia było zarazem obudzeniem się klasy, i agitator-przywódcą, który wyłaniał się z gminu i w jego imieniu formułował żądania, godził podwójnie w dominujące dotąd stanowisko szlachcica: narodowo i socjalnie. Spolszczona szlachta tej części kraju, uważająca się za przyrodzo-



Odprowadzenie zwłok na dworzec kolei we Lwowie: rodzina postępująca za trumną.

na przedstawicielkę ludności ruskiej, patrzyła z trwogą i niechęcią na nowe zjawisko i niechęć, żywioną w gruncie rzeczy tylko do tych, którzy zagrożali jej roli przewodniej, przeniosła także na narodową stronę ruchu.

Prościej przedstawiała się rzecz w Krakowie. Tu problem nie miał zgola cech społecznych. Wnukowie „panów małopolskich” patrzyli na Ruś bez uprzedzeń i byli zawsze skłonni do rozsądnego kompromisu. Oni wszak przed laty czterdziestu byli tymi, co w sejmie wotowali za równouprawnieniem rusinów.

Andrzej Potocki był przekonany wyznawcą tej „krakowskiej” polityki ruskiej, nie tylko jako członek swej warstwy, nie tylko jako wierny stronnik kierunku, także — jako syn Adama Potockiego, federalisty i słowianofila. Objawszy z woli monarchy rząd kraju na zasadzie daleko idących osobistych upoważnień, odznaczał się w całym swym urzędowaniu sprawiedliwością i bezstronnością, był urzędnikiem nieskazitelnie obiektywnym, politykiem, niedostępnym uczuciu plemiennego niechęci. W sprawie ruskiej kierował się spokojem i rozumem, pobudkami, dążył do jej unormowania na drodze ustępstw, umiał patrzeć na dalszą metę.



Zdzisław hr. Tarnowski
z Dzikowa.



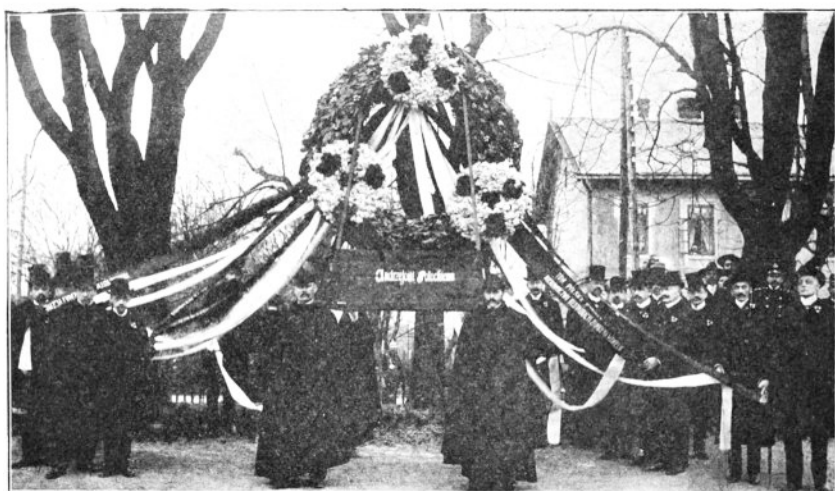
Ksawery hr. Branicki
z Wilanowa.

zamianowani przez umierającego namiestnika Andrzeja hr. Potockiego opiekunami osieroconych dzieci.

Cała natura jego, umiarkowania i łagodna, sprzeciwiała się użyciu drażniących i prowokujących środków. Był też na wysokim swym stanowisku czynnikiem nawskroś pojednawczym. Jemu właśnie zawdzięczali rusini zgodę Koła polskiego na utworzenie nowych katedr ruskich we Lwowie. Na trzy dni przed zgonem jednemu z wybitnych polityków rusko-ukraińskich ofiarował wysoką godność zastępcy marszałka kraju. Jak dalekim był od pozorów nawet wyzyskiwania swej władzy, dowodzi gwałtowna kampania przeciw niemu w ruskich dziennikach, której zostawił zupełną swobodę, nie chcąc dopuścić do zarzutów, iż krępuje krytykę swej działalności.

Dlaczego go zwalczano? Dlaczego go zabito?

Wytłomaczenie krwawej zagadki, gdyby chciało być gruntowne, musiałoby się zamienić w daleko sięgający proces śledczy. Pod pierwszym wrażeniem wskazano na motyw bezpośredni. Zmarły namiestnik zerwał z do-



Olbrzymi wieniec, złożony u trumny namiestnika w Krzeczowicach przez Instytucje kulturalne krakowskie. Na wieniec bukiety kwiatów białych i czerwonych, symbolizujących przelaną krew.

tychczasową metodą, która prawo reprezentowania ludności ruskiej przyznawała wyłącznie partii ukraińskiej. Pozwolił ścierać się swobodnie prądom, nurtującym Ruś galicyjską, a pierwsze starcie już wykazało, że ci, którzy przeczą odrębności małopolskiego plemienia, nie są ani tak nie-liczni, ani tak słabi, jakimi ich przedstawiano. Hajdamaczyna „ukraińska” uczyniła go odpowiedzialnym za to, że połowa Rusi niema wiary w istnienie swe, jako oddzielnego narodu. „Gdyby Potocki poparł był bagnetami ukraińskich kandydatów poselskich, byłby żył”, oświadczył wprost organ lwowskich starorusinów.

Ale sprawa ma głębsze motywy. Nie załatwia się wszak kulą pierwszego lepszego politycznego porachunku. Są w grze pobudki, potracające o sam rdzeń psychologii tego młodego plemienia, które się wyzwała i dorabia, które cierpi na nieproporcję swych nikłych sił do ogromu pretensyj i w którego duchowej organizacji czynnik przeczenia przyniósł zawsze pierwiastki konstrukcyjne.

Ale sprawa ma głębsze motywy. Nie załatwia się wszak kulą pierwszego lepszego politycznego porachunku. Są w grze pobudki, potracające o sam rdzeń psychologii tego młodego plemienia, które się wyzwała i dorabia, które cierpi na nieproporcję swych nikłych sił do ogromu pretensyj i w którego duchowej organizacji czynnik przeczenia przyniósł zawsze pierwiastki konstrukcyjne.

Polska straciła w Andrzeju Potockim dobrego syna, polityka i obywatela



Pośmiertny wizerunek namiestnika w stroju polskim.

niepospolitej miary. Był z tych, którzy w działaniu politycznym pograżali się w pełnym trosk i wysiłków, znojem i szarem „dziś”, a mierzyli w daleką przyszłość.



Gmach namiestnictwa we Lwowie. Na prawo w głąb — tuż przy nim pałac namiestnikowski.

Ten namiestnik cesarski za czyny swe czuł się odpowiedzialnym przed krajem, przed swoimi, czuł się akredytowanym przez naród. Dawał temu wyraz publicznie, jawnie i głośno. Pod mundurem państwowym biło mocno polskie serce. To samo serce umiało być wdzięcznym dobremu monarsze i wierność swą objawiło w wzruszający sposób jeszcze w chwili tragicznego zgonu.

Sędziwy władca Austrii złożył też u trumny Andrzeja Potockiego wyrazy uznania i czci, w których niezwykle serdecznym tonie brzmiało coś więcej, niż świadectwo, dane służbie jednego człowieka.



Mirosław Siczynski, morderca namiestnika hr. Potockiego. (Rys. wykonany dla „Świata” podczas śledczego przestępczostwa mordcy).

Kraków.

Clarus.



Szósty zjazd Związku polskich stowarzyszeń akademickich „Ogniwo“, odbyty w Krakowie.

Amatorska trupa teatralna w Witebsku.

Garstka polaków, rozrzucona po olbrzymich obszarach mohylewskiej i witebskiej gubernii, z trudnością podołać może ciężarowi utrzymywania takich instytucji kulturalnych, jak Towarzystwo oświaty i dobroczynności. Chcąc przysporzyć sobie funduszy, których brak zawsze odczuwać się daje, grono ziemian powiatu sieńskiego, wypróbawszy dwie jednoaktówki, wpadło na pomysł, aby pojechać odegrać je na cel dobroczynny w Witebsku, wymówiwszy sobie część zysku na rzecz swego sieńskiego Towarzystwa oświaty i dobroczynności.

Poprzednio przygodna ta trupa amatorska dała dwa przedstawienia w Siennie, przyczem okłaskiwaną była szczerze przez mieszczańską i drobną szlachtę, dla której język polski na scenie jest nader rzadkiem kształcącym zjawiskiem.

Grano dwie oryginalne jednoaktówki: „Świeczka zgasiła“ Fredry i „Na cel dobroczynny“ Walewskiego.

Na zakończenie cztery dziarskie a dobrane pary odtńczyły wspólnie mazura, panowie w kontuszach, panie w krakowskich strojach.

Zachęcona powodzeniem w Siennie, trupa (tak siebie zaczęto nazywać) pośpieszyła na zaproszenie Witebszczan i tam do-

znała również bardzo serdecznego przyjęcia.

Oprócz osób, które tańczyły mazura i są odtworzone na załączonej rycinie, w amatorskim przedstawieniu brali jeszcze udział panie: A. Donimirka i A. Boguszewska i panowie: Ruszczyc, Boguszewski, Majewski, Obrębski, Nowacki, Różański i Hulej.



Grupa Tow. amat. w Witebsku. (Od strony lewej do prawej): K. Świacki, Z. Donimirka, O. Gordziałkowski, A. Boguszewska, M. Sulzyska, W. Zarzecki, Pani Samujło, M. Brzostowski.

Fraszka.

(Z Lessinga).

Ze nic nie robił na tym Bożym świecie, Palnął w łeb sobie, by coś zrobić przecie — I dziś okryty grobu pięknym lochem, Z niczego stał się nareszcie raz prochem.

Z estrady.

Nowy wirtuoz. Może jutro nowa gwiazda. P. Zygmunt Szwarcstein, piotrkowianin, uczeń znakomitej szkoły p. T. Hanickiego w Kamieńcu Podol., jest skrzypkiem, który pod niezmierne szczęśliwą 'w róz bą' wchodzi na estradę koncertową. Występy we Lwowie, w Lipsku, a ostatnio w Krakowie, przez krytykę i publiczność najżyczliwiej przyjęte, dały poznać świetny talent, który przemawia już dziś nie tylko doskonałą sprawnością techniczną, lecz czemś o wiele cenniejszem i rzadszem: pogłębieniem muzycznym.



Zygmunt Szwarcstein.

Z życia polskiego w Paryżu.

Młody historyk sztuki, p. Henryk Ochenkowski, wygłosił dnia 8 kwietnia w sali „Cercle International des Arts“ odczyt po francusku o Albercie Dürerze, malarzu, którego działalność p. Ochenkowski obrał za przedmiot specjalnych studiów i o którym ogłosił już zajmującą rozprawę po polsku w „Dodatku naukowo-literackim“ do „Gazety Lwowskiej“. Odczyt p. Ochenkowskiego wygłoszony przed audytoryum, złożonym z międzynarodowej publiczności, wśród której przeważał oczywiście żywioł artystyczno-literacki, spotkał się z ogólnym uznaniem.



Kółko dramatyczne rzemieślników warszawskich w dniu 20 kwietnia odegrało na scenie w *Stawie Promienadzie* (obecnie *Kaskadzie*) melodramat w 5-ciu aktach Pawła Kosmińskiego p. t. „*Walka o córkę*”. Fotografia przedstawia zakończenie aktu V-ego.



19, 20 i 21 kwietnia w *Stawie Promienadzie* (dawne *Trianon*) odbywały się zabawy ludowe świąteczne. Powodzeniem wielkim miał się cieszyć balon *captif*, który, niestety, za drugim wzlotem wpadł na drzewo i rozerwał się ku wielkiemu żalowi świątecznej publiczności. Fotografia przedstawia chwilę napięcia balonu gazem.

Wyjaśnienie.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł mój „Sześćdziesięciolecie *Czasu*” uległ drobnemu, lecz nader przykre mu okaleczeniu: z ustępu o składzie redakcji tego dziennika wyleciał mianowicie *passus* o Witoldzie Noskowskim. Ponieważ powstała przez to luka tem bardziej musi uderzać i dziwić, że tyczy się nie tylko znakomitego współpracownika *Czasu*, ale zarazem jednego z najświetniejszych dziennikarzy polskich, którego wysokie zdolności publicystyczne są tak powszechnie i tak słusznie cenione, proszę Sz. Pana pozwolić mi zaznaczyć, że przyczyną fatalnego pominięcia jest nieuwaga przy składaniu artykułu i że autor jest szczerze żartwiony tym wypadkiem.



Clarus.

Cesarz Wilhelm na wystawach paryskich.

Policja paryska ma obecnie nowe zajęcie: konfiskowanie z wystaw obrazów, przedstawiających cesarza Wilhelma. Z salonu „niezależnych” usunięto aż sześć prac rodaka naszego p. Bolesława Biegasa. Cesarz Wilhelm był przedstawiony na nich nago. Nawiasem mówiąc, policja francuska oddała nam w tym razie rzeczywistą przysługę, ponieważ owe nad wszelki wyraz nieudolne bohomyzy, opatrzone nadto pretensjonalnemi, niby to „politycznemi” tytułami (Neron na ziemi polskiej, Wywłaszczenie polaków, Wpływ polityki pruskiej na rosyjską i t. d.), budziły tylko śmiech wśród publiczności w pierwszym dniu otwarcia salonu, dając temat do niestosownych żartów z poważnych rzeczy. Co owe „dzieła” miały naprawdę przedstawiać, tego nikt nie wie, nie wyłączając oczywiście i samego p. Biegasa.

Świeżo znów z „Salonu Marsowego” skonfiskowano obraz znanego artysty francuskiego, Jana Vebera. W obrazie tym, zatytułowanym „*Vision d'Allemagne*”, a przedstawiającym cesarza Wilhelma w towarzystwie nielicznej świty, policja paryska dopatruje się obrazy majestatu, mianowicie — aluzji do tych plotek, które krążyły w Berlinie podczas procesu Harde-na. Trzeba mieć nielada wysubtelizowaną domyslność, aby się czegoś podobnego móc dopatrzeć. Obraz trzymany jest w tonie lekkiej karykatury, ale niema w nim absolutnie nic, coby mogło uwłaczać powadze cesarza Wilhelma. Republikańska policja paryska zbyt daleko posunęła tym razem swą sąsiedzką usługę.

Odpowiedzi od redakcji.

P. B. Tytk. Możemy służyć numerami *Świata* od początku roku, prócz № 5, który jest wyczerpany.

Ditirambus. Adres L. Tołstoja: Jasna-ja Polana, gub. Tulska, Kaźmierza Tetmajera: Kraków, Zgoda 1.

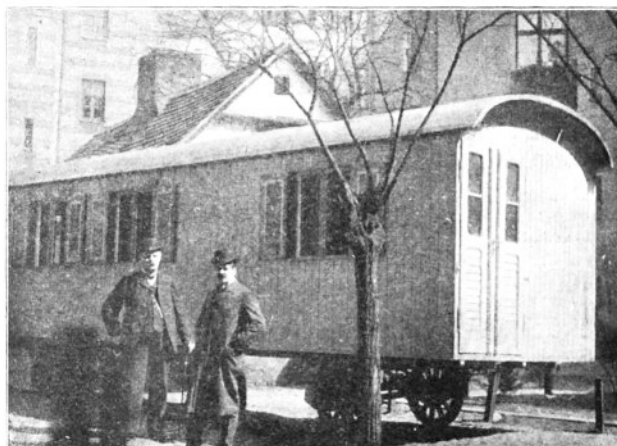
P. Józ. Malin. Nadesłane wiersze nie będą drukowane. Rękopis zniszczyliśmy.

Wydawcy J. w Krakowie. Współpracownik nasz, podpisujący się *Clarus*, najchętniej poda Sz. Panu swoje nazwisko i adres. Uczyni to w prywatnym liście. Ale do kogo ma adresować?

SPROSTOWANIE.

Ustęp w powieści Tetmajera na str. 6 № 16, poczynający się od słów: „Polan leżał bez ruchu” powinien być umieszczony w № 15 na str. 5, gdzie zaczyna się ustęp: „Gdy wieść o zamachu na Polana runęła w Spalato”.

Nowy wóz Michała Drzymały.



Nowy wóz Michała Drzymały z Podgradowic, zakupiony ze składek społeczeństwa polskiego. Wóz ma następujące wymiary: 8 metrów długości, 3 wysokości, 2 1/2 szerokości. Na lewo — p. Ant. Dzieciuchowicz, właściciel firmy, która wóz wykonała, na prawo — skarbnik komitetu Drzymałowego, p. dr. Tadeusz Jaworski. Świecenie Wielkanocne obchodził Drzymała w nowym obszernym wozie.

Otwarcie 7-go Czerwca 1908 roku

WYSTAWA W CIECHOCINKU

Zapis wystawców do 1 Maja r. b.
Sekretaryat: Marszałkowska № 110.Informacji udziela Komisaryat,
Warszawa, Nowy-Świat № 26.Skład **Używanych maszyn,** Tadeusz Rychter
Okopowa 21, tel. 31-51.**P. LEBIEDZIŃSKI.** Skład aparatów i potrzeb do fotografii. Warszawa, Krak.-Przedm. 55.

Poleca Najnowsze modele aparatów fotograficznych: „Bébé”, „Polyscope”, „Lilliput” i inne.

Najlepsze klisze bromosrebne: Guilleminot et C^{ie}, wywołujące się szybko i nadzwyczaj plastycznie.

Angielskie klisze i papiery Ilforda. Franuskie wywoływacze, wiraż-fiksaz i utrwalaacz.

Największy skład wyrobów Tow. „Kodak”. Nowe papiery: „Fotopastel” i „M” własnej fabryki.

Pracownia chemiczno-bakteryologiczna mag. **R. Życkiego** Chmielna 17 WYROBY: Kefir, mleko bułgarskie, mleko dla niemowląt
tel. 30-68„ENGLISH CLOTHING HOUSE”
LEOPOLDA KOCH. MIODOWA № 2.

ANGIELSKIE PALTA UBRANIA I MATERIAŁY.

KUPNO MASŁA
SKŁAD MASZYN

Warsz. Ziemiańskie Tow. Mleczarskie

Warszawa, Aleja Jerozolimska 23.

Warunkupna i katalogi na żądanie bezpłatnie.

POŁĄGA

stacya lesna, jedynie polsko-litewskie kąpiele w Bałtyku
dojazd przez Prusy do Memla (Klepedy). Z Cesarstwa
i Królestwa przez Libawę lub Prekulę (Libawo-Romenska).
Z Libawy Samochodami i powozami. W Kurhauzie Hotel,
kuchnia pod nadzorem lekarza.
Informacje, wynajem mieszkań. Wspólna № 33 mieszk. № 3
od 11 do 3 godzinySpecyalne Salony dla Pań Marszałkowska 108, I-sze piętro, p. firmą Telef.
Karol, Maksymilian, Włodzimierz. 115-00

CZESANIE, farbowanie, mycie, osuszanie za pomocą maszyny elektrycznej „MANICUR”.

FABRYKA POWOZÓW „W. ROMANOWSKI” K. Starzyński
Królewska № 23.

przyjmuje obstalunki, jak również poleca znane ze swej dobroci ekwipaże.

„VERSAL”

Pokoje meblowane Marszałkowska 108,
róg Chmielnej poleca WW. PP. przyjezd-
nym pokoje na doby i miesięcznie. Wzorowa
czystość i porządek, elegancja, ceny bardzo
przystępne. Kuchnia, wanna. Telefon 109-70.
1939 Z uszanowaniem Zarząd.

Zakład Przewozowy

„SYRENA”

Krak. Przedm. 38

Świeże tytonie

SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

B. O. Kamiński

Nowy Świat 55. Tel. 53-90.

Świeże tytonie

NAJLEPSZY KONIAK NATURALNY
KAUKASKI
Tow. A. Arabagy & C^{ie}Restauracya Grand Hotelu
Chmielna 5. F. Reyeh.Codziennie koncerty orkiestry damskiej krakow-
skiej. Obiady 50 k. Kolacje 60 k. Gabinety
z komfortem urządzone z wejściami oddziel-
nymi. Ceny na sali i w gabinetach jednakowe.
Kuchnia wyśmienita. Piwo zagraniczne i Stryc-
kie z beczki. 1893

BANK

Warsz. Tow. Wzaj. Kredytu

Kupców i Przemysłowców

Plac Teatralny № 11.

Załatwia wszelkie operacje ban-
kierskie. 1945.

Tow. Akc. Browaru Haberbusch i Schiele

1041 poleca PIWO PILZEŃSKIE

Elixir higieniczny do zębów

Krajowy wyrób

„GLOSSA”
APTEKA
E. GESSNERA
Jerozolimska 27.

BROWAR POLSKI

St. NOWACZYŃSKIEGO

Grochów, pod Warszawą. Tel. 878.

MAGAZYN MEBLI

J. SZYNKOWSKI, R. WSZETECZKA i S-ka

Mazowiecka 8. Telefonu 59-91.

Zakłady własne stolarskie, rzeźbiarskie i tapi-
cerskie. Chłodna 14. Telefonu 18-70.

K. MACHLEJD

POLECA PIWO

Lagrowe, Leżak, Pilzeńskie, Kulmbachij-
skie i Monachijskie.

filia: Marszałkowska 100. Tel. 1100.

MAGAZYN MOD

M^{lle} ANTOINETTE
ulica Szpitalna № 1.Poleca na nadchodzący sezon letni
wielki wybór bardzo gustownych, najmod-
niejszych kapeluszy, po cenach nader przy-
stępnych. 2079

Pięte Warsz. T-wo

Pożyczkowo-Oszczędnościowe

Plac Warecki № 6, telef. № 65-12.

Udziela pożyczki i przyjmuje wkłady, placąc
od 3 do 7% przy nieograniczonej odpo-
wiedzialności członków i zwolniona jest
od wszelkich opłat stemplowych. 2091

Pićcie piwo „Waldszleschen”

Żadać wszędzie

Złoty medal Trademark 1907 r.
WARSZAWSKA AGENTURA AKO. TOW.
GRAMOFON. Tow. B-ci M. i W. Isserlin
Warszawa. 3 Wierzbowa 3.Zawiadamia, że zdjęcia na kwiecie nie ukazały się
już w sprzedaży — Prawdziwy tylko z mar-
ką fabryczną Anioł piszący

W. Cybulski i S-ka

WARSZAWA,

Nowo-Senatorska 7, tel. 60-29.

Wybory siodlarsko-rymarskie i sportowe.

NARZĘDZIA LEKARSKIE, bandaże orto-
pedyczne, środki ochronne, wyroby no-
żownicze najtaniej Bronisław Krug
Warszawa, Bracka 18. Telefon 35-49LECZNICA
USZNA

D-ra A. Hejmana

Warszawa, Zielna 31. Telefon 118-20.
PORADA KOP. 35.„F. KOZŁOWSKI”
obecnie S. NOWACKI.WARSZAWA
Rymarska 7 róg Leszna Tele-
fon 39-99, m. prym. 120-90.Lampy, Żyrandole do gazu, porcelana,
szkło, fajans, galanteria etc.Wynajem nakryć stołowych — platerów.
Krzeseł, stolów. — Bielizny stołowej lamp etc.



Fot. „Świat”.

Ogólny widok fabryki od ul. Żelaznej.

Włocławska fabryka cykoryi R. Bohne i S-ka.

Na popularną dziś tyle i tyle użyteczną roślinę, zwaną *cykoryą*, zwrócono uwagę baczniejszą dość późno, bo dopiero w roku 1769 przekonano się, że wytworzyć z niej można napój pożywny, smaczny i tani.

Nazwano ją wtedy charakterystycznym mianem „korzeń kawowy”.

W roku 1771 ukazała się ona już w handlu pod nazwą „kawy pruskiej”, a wypuściła ją fabryka, na którą przywileju udzielił ks. Brunszwicki. Nowy produkt posiadał tyle zalet, że rychło podobał się ogólnie i zaraz też poczęto konkurować z fabryką brunszwicką. W 1790 roku było w Magdeburgu kilka fabryk podobnych.



„Fot. Świat”.

Suszarnia cykoryi.

Jednocześnie poddawać zaczęto roślinę cykoryi starannej i umiejętnej uprawie ogrodniczej i otrzymano produkt coraz to wyborniejszy i delikatniejszy.

W roku 1890 w Europie samej liczono już czterdzieści fabryk cykoryi, a samą cykoryę plantowano w Holandii, Belgii, Niemczech i Francji. W tym ostatnim kraju konsumowano wtedy już rocznie 12 milionów funtów cykoryi.

Obecnie w Europie jest fabryk cykoryi—480.

Rozwój ten ogromny świadczy, jak poważne miejsce zajęła cykorya w szeregu spożywczych produktów w współczesnych. Oczywiście, że fizjologia i higiena dały temu produktowi swoją naukową sankcję, bez czego nie rozpowszechniłby się on tak szeroko.

Włocławska fabryka cykoryi firmy R. Bohne i S-ka rozwinęła się z suzarni i handlu hurtownego wysuszoną cykoryą, założoną w roku 1884 w grodzie Łokietka, Brześciu Kujawskim, przez ś. p. Karola Mentzla. W Ziemi Kujawskiej włościanie umieli się obchodzić z cykoryą; tłuste grunta Kujawskie doskonale się nadawały do hodowli tej rośliny. Ś. p. Mentzel skupował ją od

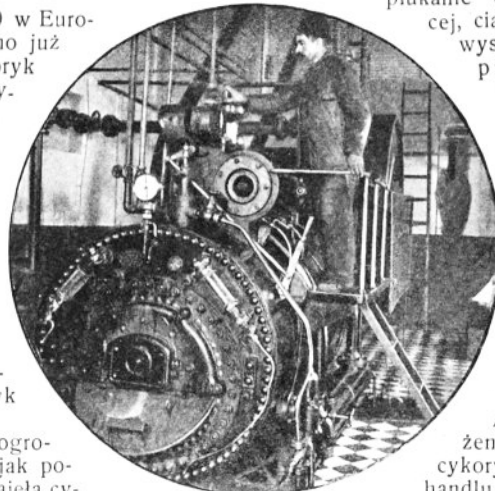
włościan, poddawał sortowaniu, umiejętnie wysuszał i dostarczał tego produktu fabrykom krajowym i zagranicznym.

Po latach szesnastu powodzenia, namówiony przez konsumentów, założył wraz ze swoim zięciem p. R. Bohne fabrykę cykoryi na wielką skalę an własnych terytoryach we Włocławku, przy stacji kolei, pomiędzy ulicami Kałiską i Żelazną. Było to w 1900 roku. W ten sposób fabryka ta mogła odrazu skorzystać ze wszystkich technicznych urządzeń i pomocy, jakie postęp mechaniki i higieny do tego dzieła pracy ludzkiej wprowadził.

I w istocie, w fabryce p. Bohnego cykorya przechodzi przez bardzo liczne przeróbki, przesyłana jest od jednego oddziału do drugiego, odbywa cały proceder aż do końca, aż do wsypiania w paczki, w których idzie do handlu—i ani razu nie zostaje dotknięta ręką człowieka.

Wszystko wykonywują maszyny.

A jest to rzecz zadziwiająca i podziw dla współczesnej techniki budząca patrzeć jak w takiej fabryce, na wysokości ostatnich wymagań stojącej, jaką jest fabryka p. Bohnego: same koła, pasy, kanały, piece, kosze i t. p. wykonywują wszystkie potrzebne czynności, nieraz wielce skomplikowane, z systematycznością wzorową i czystością, jaka higienistów najsurowszych całkowicie zadowolnić musi. Suszenie odbywa się tu w kanałach betonowych; płukanie w wodzie bieżącej, ciągle odświeżanej; wysuszanie ciepłem pieców bezdymnych, ogrzewanych koksem; kranie maszynami; palenie na metalowych bębnoch, nawet pakowanie odbywa się przez maszyny specjalne, które same nasypują i same ważą produkt.



Kotłarnia i elektrownia.

Automatyczne ważenie i nasypywanie cykoryi, gotowej do handlu i konsumpcji odbywa się przez 4 maszyny, obsługiwane przez 16 kobiet; 1 maszyna przygotowuje 12 tysięcy paczek dziennie. Rozporządzając maszynami tej wogóle sprawności, fabryka Bohnego może rozwijać produkcję swoją w tempie, jakiego tylko okoliczności wymagać będą.

gotowuje 12 tysięcy paczek dziennie. Rozporządzając maszynami tej wogóle sprawności, fabryka Bohnego może rozwijać produkcję swoją w tempie, jakiego tylko okoliczności wymagać będą.

gotowuje 12 tysięcy paczek dziennie. Rozporządzając maszynami tej wogóle sprawności, fabryka Bohnego może rozwijać produkcję swoją w tempie, jakiego tylko okoliczności wymagać będą.

Dodajmy, iż do użytku idzie sam korzeń cykoryi, podobny do korzenia białej marchwi. I że suszenie, powolne i stopniowe, ma na celu wyciągnąć zeń całą zawartą w korzeniu wodę, nie pozabawiając korzenia tego żadnego innego elementu cykoryi.

W tak staranny sposób przygoto-



Maszyzny, napełniające po 12.000 paczek cykoryi dziennie.



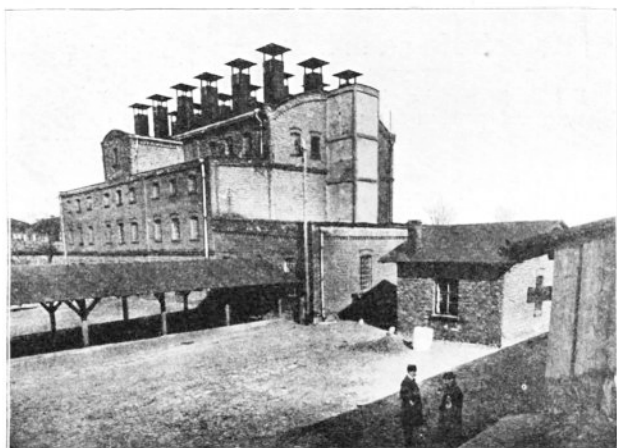
„Fot. Świąt.”

Sala ekspedycyjna i magazyn etykiet.



Fot. „Świąt”.

Pakownia cykoryi.



Ogólny widok suszarni w Brześciu Kujawskim. Na podwórzu widać dyr. fabryki, p. Mikulskiego, rozmawiającego z zarządzającym suszarnią, p. Berg.

wywany produkt musiał, oczywiście, zyskać sobie wielkie powodzenie.

Ofiarą tego powodzenia padła stara suszarnia w Brześciu, którą przerobiono na proste składy. Wybudowano zaś nową, żelazno-betonową, największą w kraju, która dziennie przerabia *tyśiąc dwieście centnarów* korzenia cykoryowego.

Kolos ten postawić było koniecznością dla właścicieli fabryki, po roku bowiem produkcji, a więc już w 1901 roku, zapotrzebowania wzrosły w dwójnasób.

Samych gatunków cykoryi spożywczej jest wielka ilość.

Dwa typy główne—to *maka i kasza*. Ażeby je otrzymać, wysuszone znakomicie kawałki cykoryi idą do specjalnego młyna, który produktowi nadaje ostateczne wykończenie.

Gatunki główne cykoryi są: piwniczna, sucha, przeprawiana.

Zależy to od gustów i zwyczajów danej okolicy albo kraju, który gatunek bywa zapotrzebowywany. I do tego fabryka stosuje swoje produkty.

U nas, w całym kraju, przede wszystkim w użyciu jest cykorya *piwniczna*, inaczej wilgotną zwana; aby nadać jej stopień wilgoci, wymaganej przez konsumentów, cykorya

idzie do piwnic fabrycznych, rozłożonych pod całym gmachem fabryki, i tam przebywa przez trzy miesiące.

Inne gusta mają konsumenci Cesarstwa, inne zagranicy, a i tam fabryka Bohnego wysła znakomite swoje produkty.

W katalogu firmy tej znajduje się gatunków cykoryi *szesnaście*.

Z tych na pierwszych miejscach stoją: Karlsbadzka domieszka do kawy, Kawa figowa i Cykorya polska. Są to, wśród innych, specjalności naszej fabryki wrocławskiej, a na wytwarzanie słynnej na cały świat „domieszki karlsbadzkiej” fabryka p. Bohnego posiada prawo wyłączności na Królestwo i Cesarstwo.

I na tem pola postępu zresztą jest istotny, a wynalazczy duch ludzki, łącząc pomysłowość z doświadczeniem, dochodzi do ważnych ulepszeń i godnych poznania nowości. Takim wynalazkiem w dziedzinie kawowych surogatów, które posiadają wszystkie pożywne pierwiastki kawy, bez jej pierwiastków podniecających i zmuszających serce do wysiłków nienormalnych, jest *esencja kawowa*.

Fabryka wrocławska R. Bohne i S-ka, której technicznym dyrektorem jest dzielny specjalista inżynier Fr. Mikulski, prowadząc laboratorium dla przygotowywania własnych wynalazków,

doszła do odkrycia produktu znakomitego *Esencji kawowej*, którą, po licznych i w końcu decydujących próbach, wypuściła do handlu.

Zwracamy na nowy ten produkt uwagę czytelników.

Fabryka R. Bohne i S-ka należy do najpoważniejszych u nas zakładów fabrycznych. Posiada własną elektrownię. Trzy warsztaty własne dla fabrycznych potrzeb. Stu robotników. Cały personel składa się z polaków.

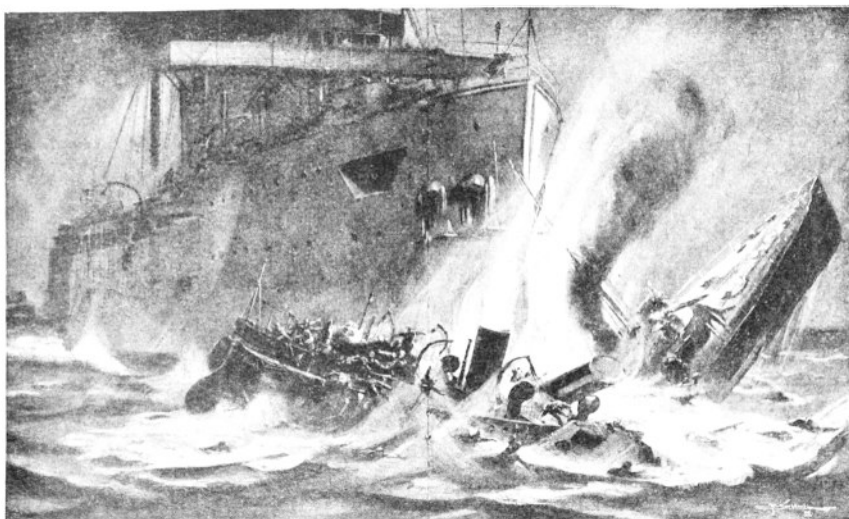


Pomnik króla Łokietka, dłuta Franciszka Gontarskiego z Wrocławia.

Obroty fabryki sięgają sumy 200 tysięcy rubli rocznie.

Nagradzano ją wiele razy. Najwyższa nagroda stanowi duży złoty medal państwowy, udzielony fabryce Bohnego przez ministerium finansów.

H. Antony.



Katastrofa na morzu.

Katastrofa morska, jedna z najstraszniejszych w kronikach żeglugi ze względu na gwałtowność spotkania się dwóch statków, miała miejsce w nocy d. 2 b. mijająca koło południowego wybrzeża wyspy Wight. W czasie manewrów nocnych, które odbywały się bez światła, kontrtorpedowiec „Tygrys” wpadł pod skrzydła krążownika wojennego „Barwicka”. Oba statki pręły fale całą siłą pary. „Tygrys” został od razu rozdarty na połowę, pomiędzy 2 i 3-cim kominem. Przednia część statku stanęła dęba prawie pionowo i stoczyła się w jednej chwili w otchłań ze wszystkimi ludźmi, którzy się tam znajdowali. Załoga tylniej części, wydostawszy się jeszcze na pokład, ratowała się, rzucając się do morza i czepiając belek i kawałków drzewa. Większość uratowanych należała do wyższego sztabu inżynierskiego. Zginęło 36 marynarzy. W chwili strasznego starcia buchnęły z kominów piekielne płomienie, co jeszcze podniosło grozę katastrofy. Podajemy rysunek tej katastrofy, wykonany dla angielskich pism ściśle z opowiadań ocalałego marynarza.

NEKROLOGIA.

Ś. p. dr. Stanisław Woyno.

Zmarły w marcu w Petersburgu doktor Stanisław Woyno należał do pokolenia chirurgów polskich, których wydały ostatnie lata Szkoły Głównej i pierwsze Uniwersytetu Warszawskiego. Mistrzami jego byli: Girsztowt i Kosiński. Po ukończeniu medycyny w 1872 r. otrzymał miejsce przy uniwersyteckiej klinice, jako asystent. W trzy lata potem mianowano go ordynatorem tejże kliniki. W 1890 r. wyjeżdża na Kaukaz, który opuszcza dopiero z chwilą wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, udając się na Daleki Wschód, jako naczelný lekarz szpitali wojskowych Czerwonego Krzyża. Po ukończeniu kampanii przenosi się do Petersburga na stanowisko ordynatora jednego ze szpi-



tali stolicy. Zmarł w 58 roku życia, pozostawiając po sobie sławę pierwszorzędnego chirurga.

Ś. p. dr. med. F. J. Bieniecki,



lekarz 5-go pułku huzarów w Kaliszu, urodzony 1850 r. w Warszawie, zmarł d. 6 b. m. Zmarły cieszył się wielkim uznaniem i szacunkiem kaliszczan i okolicy, jako prawniczy i czołowiek. U trumny zmarłego złożono 84 wieńce.

Ś. p. Aleks. Małachowski,



advokat przysięgły, niedawno osiadły w Warszawie, przedtem zamieszkały w Łodzi, doskonały prawnik-cywilista, zmarł d. 14 kwietnia, przeżywszy lat 55. Należał do organizacji stałej sceny polskiej w Łodzi i do założycieli Łódzkiego Tow. Muzycznego.

Ś. p. Antym Nikorowicz.

były dyrektor galicyjskiej kasy oszczędności, zmarł nagle w Zakopanem.



Ś. p. Stanisław Banel,

zasłużony i ogólnie kochany i szanowany nauczyciel permskiego gimnazjum męskiego i żeńskiego, zmarł 2 kwietnia, jako ofiara wścieklizny. Bawiąc się z małym swym pieśkiem, który lizał mu ręce, zaawazył małe zadraśnięcie; nagle pies zniknął bez śladu; po kilkunastu dniach ś. p. Banel uczuł się niedobrze, udał się do ambulatorium, gdzie mu zaszczepiono ochronną surowicę. Jeszcze po kilkunastu dniach poczuł spazmy w gardle; spazmy się powiększały, potem poczęły im towarzyszyć dławicowe krzyki na widok wody. Po paru dniach cierpienia ś. p. Banel zmarł na wściekliznę. Uczniowie ponieśli trumnę na barkach, drogę usypano kwiatami. Zarządzono również stypendium imienia zmarłego. Liczył 41 lat wieku.



Ś. p. Z. Lubicz-Dzierzbicka.

D. 6 kwietnia r. b. zmarła w Krakowie Zofia Lubicz-Dzierzbicka, pianistka polska. Studya odbywała pod kierunkiem Leszczyńskiego w Wiedniu, Paderewskiego w Paryżu i Essipowej w Petersburgu. Koncertowała z wielkim powodzeniem w Londynie, Paryżu, Krakowie, Warszawie. W ostatnich latach złożona ciężką chorobą serca, usunęła się z życia artystycznego.



Treść № 17 „Świata”, 1908 roku.

Armia zbawienia. (Z 1 ilustr.) Zyg. Kisielewski.
Galerya miejska we Lwowie. (Z 5 il.) J. Łęski.
Fragment z tragedji „Wenedzi”. Antoni Lange.
Król Andrzej. Powieść. Kaz. Tetmajer.
W starym Kijowie. (Z 2 ilustr.) Fr. Rawita Gucwoński.
Pierwsza wystawa Tow. „Odłam”. (Z 5 ilustr.) Władysław Wankie.
Zmarłychwstający Wawel. (Z 2 ilustracyami) Clarus.
Narodziny słowika. Gamaston.
W muzeum płockiem. (Z 3 ilustr.) Wk.
„Zielony sztandar”. (Z 1 ilustr.) Ch.
Głosowanie kobiet. (Z 1 ilustr.) Stosław.
Andrzej hr. Potocki. (Z 9 ilustr.) Clarus.
Amatorska trupa teatralna w Witebsku. (Z 1 ilustr.)
Z estrady. (Z 1 ilustr.)
Z życia polskiego w Paryżu.
Cesarz Wilhelm na wystawach paryskich. P.
Dodatek ilustrowany. (8 ilustr.) Antony.
Katastrofa na morzu. (Z 1 ilustr.)
Nekrologia. (Z 5 ilustr.)

ODDZIELNE ILUSTRACYE.

„Portret”. T. Axtosiewicz.
Burza. Ajazowski.
Zjazd „Ogniwa” w Krakowie.
Zabawy ludowe świąteczne. (2 ilustr.)
Nowy wóz Michała Drzymały.